12.
BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY.

WYBÓR NOWEL I OPOWIADAŃ

NAJZNAKOMITSZYCH WSPÓŁCZESNYCH PISARZY POLSKICH.

WYDAŁ

HENRYK KOPIA.

WE LWOWIE.
NAKŁADEM TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH.
1895.

ZA ZEZWOLENIEM AUTORÓW.

SPIS RZECZY.

WSTĘP.

Pomimo, że nowela[1]) zaledwie od kilkunastu lat zdobyła sobie prawo obywatelstwa w naszej literaturze, jednak możnaby już u nas zebrać wcale pokaźną cyfrę tych utworów, wymagających odrębnego rodzaju talentu i niemałej wprawy pisarskiej. W szczupłych bowiem ramach zmieścić całość obmyślaną i wykonaną artystycznie, umieć prostymi środkami zająć lub wzruszyć, słowem stworzyć małe arcydzieło — to poniekąd większa sztuka, niż napisać powieść kilkutomową, gdzie można rozwinąć cały szereg zdarzeń i sytuacyi, figur i typów, opisów i dyalogów. Pomimo to wydaje się na pozór napisanie noweli rzeczą łatwą i właśnie ta pozorna łatwość tworzenia jest jednym z powodów, które wywołały tak obfitą produkcyę nowel. Pisarze początkujący od nich zazwyczaj rozpoczynają swą działalność, powieściopisarze z dobrze już zasłużoną sławą szukają w nich wypoczynku po ukończeniu większych utworów. Obok tego powodu jest jednak inny, ważniejszy, a tym jest upodobanie dzisiejszych czytelników w tego rodzaju lekturze. Drobne te utwory, mieszczące nieraz wiele trafnych spotrzeżeń i refleksyi, starające się uchwycić wiernie jedną chwilę z życia,

[1]) Wyraz ten pochodzi od franc. *nouvelle* lub włos. *novella* = coś nowego, nowina. Nowela powstała w wiekach średnich z tego, że opowiadano sobie zajmujące, niezwykłe wydarzenia, szczególne przykłady cnót lub występków etc. Chociaż i przedtem u nas pisywano nowele, jednak dopiero w czasie między r. 1873 a 1880 rodzaj ten upowszechnił się i doszedł do rozkwitu.

jedną zajmującą lub niezwykłą sytuacyę, ten lub ów ciekawy typ, oświetlić z nieznanej strony różne właściwości natury ludzkiej — dziwnie zgadzają się z gorączkowym trybem życia u większości dzisiejszego społeczeństwa. Powieść, zwłaszcza większa, wymaga zajęcia się nią stałego przez dłuższy czas, czytania nieprzerywanego: nowelę chętnie każdy przeczyta w wolnej chwili, których tak niewiele mają ludzie, pracujący w ten lub ów sposób na chleb codzienny.

To bogactwo nowel w literaturze współczesnej, tak w polskiej jak i w obcych, sprawiło, że właściwa nowela zaczęła przeradzać się w różne pokrewne rodzaje, mające z nią mniej lub więcej cech wspólnych. Tak powstały: opowiadania więcej zbliżone do potocznej rozmowy, a zatem swobodniejsze w wyborze treści i formy, a dalej obrazki, szkice, nowelety, humoreski, fantazye i t. p.

Nie da się zaprzeczyć, że w tej istnej powodzi nowel i pokrewnych im utworów, na którą już nawet poczynają się skarżyć niektórzy krytycy, znaleźć się może wiele rzeczy słabych i niedojrzałych. Z drugiej jednak strony przyznać trzeba na pociechę, że posiadamy już dość znaczną liczbę »wyborowych« pod każdym względem nowel i możnaby niemi zapełnić kilkanaście takich tomików, jak ten. Koniecznem jest zaznaczyć, że mieści on tylko małą cząstkę wyborowych płodów współczesnej nowelistyki polskiej.

Pisarze, których prace tu pomieszczono, liczą się wszyscy do współcześnie żyjących, tworzą coraz nowe dzieła, rozwijając swój talent, i historya literatury stanowczego sądu o nich jeszcze nie wydała. Jednakowoż niektóre przynajmniej najważniejsze szczegóły z ich życia tu przytoczymy, nie bez pożytku zapewne dla czytelników.

Najstarszym z tego grona jest **Jan Zacharyasiewicz**, urodzony 1. września 1825 r. w Radymnie. Kształcił się w gimnazyum przemyskiem i w uniwersytecie lwowskim. Jako młodzieniec należał do gorących patryotów i kilka lat pokutował za to w więzieniu (1842—44 w Szpilbergu, 1849—52 w Theresienstadt). Był potem współpracownikiem i redakto-

rem kilku lwowskich czasopism, które w owych latach szybko powstawały i upadały (Postęp, Gazeta powszechna, Nowiny, Kółko rodzinne). W r. 1865 wyjechał w dłuższą podróż zagraniczną, a wróciwszy przebywa jużto w Warszawie jużto w Galicyi, zawsze oddany wytrwałej pracy. Pierwszą większą powieść »Uczony« ogłosił w r. 1855 i odtąd niema prawie roku, żeby jednej lub kilku nowych nie wydał. Razem z kilku nowelami jest ich przeszło 50, a najznakomitsze: Na kresach (1860), Święty Jur (1862), W przededniu (1863), Marcyan Kordysz (1865), Marek Poraj (1867), Czerwona czapka (1869), Wiktorya Regina (1870), Zakryte karty (1874), Zły interes (1876), Wybór posła (1878), Romans pana Michała (1880), Nowele i opowiadania (1884). Postacie i wypadki lubi Zacharyasiewicz kreślić rysami delikatnymi i subtelnymi, celuje zręcznością i lekkim humorem, zaprawionym pobłażliwą ironią, z jaką niekiedy patrzy na swoich bohaterów; obok tego nie brak w jego dziełach poważnych refleksyi i ducha narodowego. (Na kresach, W przededniu, Czerwona czapka [1]).

O kilka lat młodszy jest **Albert Wilczyński**, ur. 16. kwietnia 1829 r. na Pradze pod Warszawą. Szkoły ukończył w Kielcach, od r. 1851 do 1860 służył w sądownictwie, potem przez 10 lat gospodarował, a od 1871 roku stale osiadł we Lwowie, gdzie obecnie jest urzędnikiem Wydziału krajowego. W r. 1854 wydał »Kłopoty starego komendanta«, które zjednały mu odrazu sławę i doczekały się kilku wydań. Lekkość, swoboda, dobroduszna ironia, nieraz uwagi rozumne, ale podane od niechcenia, bez chęci moralizowania, sprawiają, że mamy w nim jowialnego gawędziarza, którego humoreski, pisane szkicowo, dają czytelnikowi sposobność do szczerego, zdrowego śmiechu. Oprócz »Kłopotów« zasługują na wyróżnienie: Historya mojej dubeltówki (1877), Fotografie spo-

[1] Zwięzłe charakterystyki pisarzy zaczerpnięto przeważnie z dziełka Dra P. Chmielowskiego »Zarys liter. pols. z ostat. 20 lat«. Warszawa 1884.

łeczne (1878), Z pamiętników plotkarza (1879), Wspomnienia obywatelskie (1880), Sielanki szlacheckie (1881), Na manowcach (1882), Humoreski i obrazki z życia (1884), Z naszego życia (1885), Nowe fotografie społeczne (1885), Z miasta i ze wsi (1890). Niektóre tłómaczono na język czeski i rossyjski.

Podczas gdy Wilczyński przeważnie maluje obrazy z życia wiejskich dworów, ma świat mieszczański, zwłaszcza w Krakowie, wybornego znawcę w **Michale Bałuckim**, ur. 1837 r. w Krakowie. Nauki szkolne i uniwersyteckie odbył w mieście rodzinnem i tam też stale przebywa. Od poezyi lirycznych i większych poematów przeszedł do powieści wydawanych po roku 1863, pod pseudonimem Elpidona; jest też autorem wielu wybornych komedyi. Zaletami jego powieści są przedewszystkiem żywość opowiadania, ruchliwość akcyi i trafność spostrzeżeń. Ważniejsze dzieła w tym rodzaju są: Przebudzeni (1864), Młodzi i starzy (1866), O kawał ziemi (1872), Życie wśród ruin (1870), Byle wyżej (1875), Za winy niepopełnione (1879), Typy i obrazki krakowskie (1881), Nowele i obrazki (1884), Nowele (1886), Mój pierwszy występ literacki (1889).

Eliza z Pawłowskich Orzeszkowa, ur. w r. 1842 w Milkowszczyźnie koło Grodna, kształcona w Warszawie, zamieszkała obecnie w Grodnie — jest autorką kilku rozpraw naukowych (O początkach powieści 1869, Kilka słów o kobietach 1873, Patryotyzm i kosmopolityzm 1880, O żydach 1882) i całego szeregu powieści, pisanych z widoczną dążnością do poprawy stosunków społecznych. W dawnych powieściach zajmowała się przeważnie położeniem kobiet w społeczeństwie i sprawą assymilacyi żydów, w nowszych z upodobaniem śledzi różnych objawów z życia ludu i drobnej szlachty zaściankowej lub szuka tematów w zamierzchłej starożytności. Wszystkie zaś odznaczają się darem spostrzegawczym i subtelnym rozbiorem uczuć i myśli osób, które występują w powieści (t. zw. analiza psychologiczna). Zalety te jeszcze wyraźniej występują

w drobnych utworach, nowelach i opowiadaniach, zebranych razem p. t. »Z różnych sfer« (1880) i »Stare obrazki« (1888). Z większych powieści cieszą się zasłużoną sławą: Ostatnia miłość (1868), Na prowincyi (1870), W klatce (1870), Pamiętnik Wacławy, Cnotliwi (1871), Pan Graba (1872), Marta (1873), Eli Makower (1875), Meir Ezofowicz (1878), Widma (1881), Niziny (1886), Mirtala (1886), Nad Niemnem (1887), Dziurdziowie (1888), Bene nati (1893). Pisma Orzeszkowej tłómaczono na język niemiecki, czeski i rossyjski.

Największą popularność między żyjącymi powieściopisarzami naszymi posiada **Henryk Sienkiewicz**, ur. w roku 1846 w Woli Okrzejskiej (w Królestwie). Kształcił się w Warszawie, a w r. 1872 począł ogłaszać pierwsze prace literackie (Na marne, Humoreski z teki Worszyłły). W roku 1876 wyjechał do Ameryki, potem zwiedził całą prawie Europę. Wrażenia i refleksye z tych podróży znajdujemy w wybornych »Listach«. W r. 1880 wyszedł zbiór mistrzowskich nowel (Hania, Stary sługa, Szkice węglem, Janko muzykant, Latarnik, Bartek zwycięzca, Za chlebem etc.), w których podziwiamy świetną plastyczność w odtwarzaniu postaci, oświetlonych z różnych stron, a niezwykle zajmujących z powodu prawdy, jaka je cechuje, choć na pozór nic niema w nich nadzwyczajnego ani niezwykle głębokiego. Sienkiewicz umie trafnie odmalować najrozmaitsze odcienie natury ludzkiej, różne subtelne rodzaje uczuć, a prawie niedoścignionym jest w oddaniu uczuć tkliwych i rzewnych. Jeszcze większe powodzenie miały trzy powieści historyczne: Ogniem i mieczem (1883), Potop (1886) i Pan Wołodyjowski (1888). Po nich autor znów powrócił do nowel i drobnych szkiców. (Ta trzecia, Sachem, Sielanka, Wspomnienie z Maripozy etc. 1889; Pójdźmy za nim, Bądź błogosławiona, Lux in tenebris lucet, U źródła etc. 1893). W r. 1892 wyszły »Listy z Afryki«. Z powieści najnowsze są: Bez dogmatu (1891) i Rodzina Połanieckich (1895). Pisma Sienkiewicza zjednały sobie taki rozgłos za granicą, że tłómaczono je na wszystkie prawie języki europejskie, a nawet na volapük.

Sława **Maryi Konopnickiej** (z **Wasiutyńskich**) urodzonej w r. 1846 w Suwałkach, polega głównie na poezyach, w których ogarnia okiem szerokie widnokręgi, zagłębia się w najważniejsze zagadnienia współczesne, porusza sprawy, któremi ogół żywo się zajmuje, przyczem nieraz popada w rażącą sprzeczność z ustalonemi zasadami. Nieliczne jej nowele (Cztery nowele 1887, Moi znajomi 1890, Na drodze 1893) są poniekąd dopełnieniem tej działalności poetyckiej; mają w sobie nawet wiele żywiołu lirycznego i poetyckiego kolorytu. Konopnicka jest też autorką kilku dobrych książek dla dzieci.

Prawie równocześnie z Sienkiewiczem rozpoczął swą działalność literacką **Aleksander Głowacki**, lepiej znany pod przybranem nazwiskiem **Bolesława Prusa**. Urodzony w roku 1847, kształcił się w Lublinie i Warszawie; w r. 1872 ogłosił pierwszy swój artykuł p. t. »Listy ze starego obozu«, a w r. 1874 wstąpił do redakcyi Kuryera Warszawskiego; obecnie w Kuryerze Codziennym kronikami tygodniowemi bawi i poucza czytelników, poruszając pod pokrywką ironii lub śmiechu niejedną myśl poważną i zbawienną. Prus jest też powieściopisarzem, ale skłonność do satyrycznych wycieczek, dowcip czasem rubaszny, ale zawsze jędrny i cięty nie opuszczają go nawet w tych jego powieściach, które osnuwa na szerokiem tle życia społecznego i zaprawia wybitną jakąś dążnością. Najnowsze powieści (Placówka 1886, Lalka 1890, Emancypantki 1892) dały w nim poznać doskonałego obserwatora i psychologa, a nowość niektórych poglądów lub obrazów, śmiałość i energia w ich wygłaszaniu i kreśleniu zjednały tym dziełom niemały rozgłos. Tak np. »Placówka«, w której autor z wybornie miarkowanym realizmem przedstawił jedną kartę z życia naszego ludu — miała dwa wydania w ciągu roku 1886, a trzecie w r. 1889. Nowele i opowiadania Prusa należą do najlepszych w naszej literaturze, a zwłaszcza: Sieroca dola (1876), Przygoda Stasia (1878), Powracająca fala (1880), Michałko (1880), Antek (1886), później razem wydane pod tytułem »Pierwsze opowiadania« (1890). Oprócz tych ukazały się: Szkice i obrazki

(1885), Omyłka (1888), Drobiazgi (1890), Opowiadania wieczorne (1894). Pisma Prusa tłómaczono już na język rossyjski, niemiecki i czeski.

Najlepszym może znawcą żydów polskich jest **Klemens Szaniawski**, znany lepiej jako **Klemens Junosza**. Ur. 22. listopada 1849 r. w Lublinie, odebrał wykształcenie szkolne w gimnazyum w Siedlcach, do uniwersytetu nie uczęszczał, ale własną pracą zdobył sobie wyższe wykształcenie. Osiadłszy stale w Warszawie, rozpoczął w r. 1874 pracę w zawodzie dziennikarskim jako współpracownik »Wieku«. Od roku 1882 począł pisać powieści, których dotąd ukazała się już spora liczba. Oprócz żydów małomiasteczkowych i wiejskich równie świetnie zna i przedstawia chłopów i drobną szlachtę zagonową, charakteryzując swoje postacie bardzo delikatnymi rysami. Umie on trafnie odczuć i oddać sposób myślenia i uczucia różnorodne swoich bohaterów, a nie poprzestaje tylko na charakteryzowaniu ich zapomocą sposobu wyrażania się, jak to czynią liczni drugorzędni pisarze. Właściwy Junoszy pogodny pogląd na świat i życie, oraz serdeczna miłość kraju i ludzi są ważną zaletą jego powieści, które mile odbijają od modnego dziś malowania ciemnemi barwami i nabierają wiele sympatycznego wdzięku. Najlepsze może nowele Junoszy mieści zbiór p. t. Z mazurskiej ziemi (1884); potem wyszły: Panowie bracia (1888), Wilki (1889), Obrazki szare (1890), Monologi (1894), Zagrzebani (1894), oraz rodzaj studyum nad stosunkami wiejskimi p. t. Z antropologii wiejskiej (1888). Wyłącznie żydom poświęcone są przekłady z żargonowego poety Abramowicza »Szkapa« i »Donkiszot żydowski« (1885), rozprawka »Nasi żydzi« (1889) i najnowsze dzieło, pisane językiem staropolskim na wzór Pamiętników Paska p. t. Żywota i spraw JP. Borucha Symche Kaltkugla ksiąg pięcioro (1894).

Maryan Gawalewicz, ur. 21. października 1852 we Lwowie, chodził tu do szkół średnich, do wyższych w Krakowie. Porzuciwszy zawód technika oddał się całą duszą literaturze, rozpoczynając od poezyi. Obecnie od r. 1876 stale mieszka w Warszawie, ceniony jako współpracownik

najlepszych czasopism tamtejszych. Talent jego bardzo różnostronny, a pracowitość niezmordowana: pisze poezye, komedye — prawie wyłącznie jednoaktowe — i dramaty, powieści, nowele, szkice literackie, pogawędki i fejletony w kilku czasopismach (Tygodnik illustrowany, Bluszcz etc.). Pisma jego odznaczają się wykwintną bardzo formą i zgrabnością w opracowaniu tematu, a mistrzem jest w prowadzeniu rozmowy między osobami działającemi. O ile dawniejsze nowele i powieści celują głównie tą salonową wykwintnością i poetycznym wdziękiem, o tyle znów nowsze świadczą także o głębszem studyowaniu różnych stosunków i zagadnień życia i mają wiele subtelnej analizy psychologicznej. Oprócz zbiorów dawniej drukowanych nowel i szkiców, jak O niej (1887), Żona (1888), Z mego albumu (1892), zwróciły uwagę ogółu następujące większe powieści Gawalewicza: Gasnąca dusza (1887), Filistry (1888), Drugie pokolenie (1891), Ćma (1891), Mechesy (1892), Mgła (1893). Z rozpraw krytycznych wymieniamy: »Sylwetki i szkice literackie« (1888) i prace o Brodzińskim i Zabłockim.

Imię **Maryi Rodziewiczównej** (ur. około 1860 r.) zasłynęło od tego czasu, gdy za powieść »Straszny dziadunio« otrzymała nagrodę na konkursie czasopisma »Świt« w r. 1886. Drugą nagrodę przyniósł jej »Dewajtis« (1889). Obok tych dwóch najlepszych ukazały się: Farsa panny Heni (1886), Między ustami a brzegiem puharu (1888), Nowele (1889 i 1890), Ona, Szary proch (1890), Błękitni (1891), Obrazki (1891), Na fali (1893), Lew w sieci (1894) i inne. Przy tak obfitej twórczości literackiej znajduje Rodziewiczówna jeszcze dość czasu na prozaiczniejsze zajęcia i sama zarządza wzorowo swoim majątkiem Hruszowa na Litwie. Powieści jej odznaczają się świeżością pomysłów, śmiałym rysunkiem postaci, zapałem, energią w prowadzeniu akcyi, a przytem humorem. Ulubioną jej postacią jest jakiś wytrwały pracownik, dążący z niezłomną energią do celu; miłość ziemi, matki-karmicielki, gra też ważną rolę w wielu powieściach (Dewajtis, Szary proch). Dewajtis wyszedł niedawno w tłómaczeniu niemieckiem.

Równocześnie prawie zwrócił na siebie uwagę ogółu **Wincenty Kosiakiewicz**. Ur. 21. stycznia 1863 r. w Warszawie, ukończył tam gimnazyum i szkołę techniczną, a nauki uniwersyteckie odbywał w Genewie i Paryżu. Od r. 1882 pracuje w redakcyi »Gazety Polskiej« w Warszawie, gdzie w tymże roku umieścił pierwsze swoje nowele. Jedną z nich »Literatura mojej żony« tłómaczono zaraz na język niemiecki i odtąd powodzenie autora było zapewnione. Później wyszły: Janek, Nasz Mały (1888), Widmo (1889), Druty telegraficzne (1890), Przy budowie kolei (1891), Gąsiorkowski (1892), Rodzina Łatkowskich, W miasteczku (1893), Bawełna (1894); także kilka wybornych szkiców z życia małych dzieci, których psychologią autor z upodobaniem się zajmuje. Krytyka przyznała Kosiakiewiczowi znajomość świata mieszczańskiego Warszawy, z których to sfer umie wybierać tematy nowe i zajmujące, przyznaje mu też umiejętność artystycznego opracowania i bystrość spostrzeżeń. Powieści jego mają w sobie wiele niewyszukanej prostoty, naturalności i prawdy, a przytem niemało wdzięku; dlatego młodemu autorowi rokują wielkie powodzenie w przyszłości.

MARYAN GAWALEWICZ.

NASZA TRÓJKA.

(Z chłopięcych wspomnień).

Czy wy to jeszcze pamiętacie, młodości mojej druhy i towarzysze!?... czy wam przychodzi na myśl kiedy ten stary gmach klasztorny z długimi korytarzami, o grubych murach, odrapanych pazurami wieków, o długich salach, do których przez wązkie a wysokie okna zaglądało złote słońce i zielone akacye, w których rzędem stały ławki pokrajane scyzorykami, poplamione atramentem, oślizgłe od siadania, z tą dębową katedrą i porysowaną tablicą, przed którą każdy z nas stawał zmieszany i nieśmiały, gdy go na »środek« wezwał pan profesor?...

Czy pamiętacie głos tego krzykliwego dzwonka, co w korytarzach obwieszczał koniec każdej godziny i za każdym razem zdawał się dźwięczyć inaczej, przerywając za długą zawsze lekcyę »greki« lub »matematyki«, czy za krótką »polskiego« lub »dyktanda«?...

Tyle lat, tyle lat temu, a jednak ileż to razy przychodziła mi ochota wrócić tam, choćby na kilka

chwil z książkami pod pachą, z dwiema bułkami w kieszeni na »pauzę«, z kilku groszami od matki na jabłka lub wiśnie, któremi nas sztubaków raczyła poczciwa Chaja u szkolnej bramy.

A pamiętacie Chaję z dwoma koszami na rękach?... Żadne łakocie na kuli ziemskiej nie smakowały tak, jak jej makagigi, boże drzewko i chleb świętojański.

A łysego Cwajnosa pamiętacie?... Nazywał się z niemiecka Schuldienerem, bośmy pod niemieckim wówczas byli rygorem, niemieckich wykładów słuchali, z niemieckich książek się uczyli i musieli sobie krnąbrne języki wyłamywać na deklinacyach i konjugacyach »Sprachlery«.

Poczciwy Cwajnos! nie cierpieliśmy go serdecznie wówczas za to, że ciągle gderał, o byle figla odgrażał się, że powie samemu panu dyrektorowi, zawsze nam tę kredę do tablicy i zapodziane gąbki wymawiał, zawsze nas do klasy zapędzał i zawsze się gniewał, że za często przybiegamy »napić się wody« do jego ciasnej stancyjki.

A już najbardziej nas oburzał swoim bardzo zimnym uśmiechem, z jakim przypominał przy nadarzonej okazyi, że na »lumpusów« rózgę w soli moczy i, jak tylko pan dyrektor każe, własną ręką wsypie taką »piątkę odlewaną«, iż ją ruski rok popamiętamy.

Poczciwy Cwajnos co roku to powtarzał i co roku płakał, żegnając się z maturzystami — tak się przywiązywał do studentów.

Ta rózga — trzeba dodać — nie była wówczas tylko postrachem; istniała faktycznie i należała do szkolnej dyscypliny, jako narzędzie sprawiedliwości, pedagogiczny środek uczenia posłuszeństwa i wymiaru kary.

A jednak mimo wszystko, na jej wspomnienie nawet uśmiecham się jeszcze i, gdyby życie pozwoliło, wróciłbym znowu do szkoły, na szkolną ławkę, byle odzyskać błogosławiony wiek pierwszych wrażeń, pod któremi dusza się dopiero budzi, pierwszych złudzeń, które więcej nieraz szczęścia dają, niż szczęście samo warte.

»Dziś dla nas, w świecie nieproszonych gości, w całej przeszłości i całej przyszłości jedna już tylko dziś kraina taka, w której jest trochę... szczęścia dla nas starych: kraj lat dziecinnych!...«

On zawsze zostanie
Święty i czysty, jak pierwsze kochanie,
Niezaburzony błędów przypomnieniem,
Niepodkopany nadziei złudzeniem,
Ani zmieniony wypadków strumieniem.

Alboż wy o tem sami nie wiecie, wy — którym życie posrebrzyło skronie tak samo, jak mnie i naszym rówieśnikom, co »z dawnej wiosny zeschłe liście sieją — i coraz rzadziej łudzą się nadzieją«...?

W tym natłoku wspomnień, co mi się dzisiaj cisną przez głowę do serca, jest jedno dziwnie złożone z rózgi i z »Pana Tadeusza«.

Było to — ach Boże! jak dawne wydają się te lata — kiedyśmy jeszcze do szkoły chodzili i kiedy nas w całej klasie pod panem profesorem Ozłowskim »trójką urwisów« nazywali.

Cośmy tam byli za urwisy!... aniśmy w piłkę nie grali, aniśmy żydów nie bili, aniśmy nauki nie zaniedbywali. Humoru tylko i żywości było w nas więcej, niż w innych — i jakiś dyabeł w nas siedział.

Przysięgliśmy sobie przyjaźń na śmierć i życie, bośmy tak jakoś przypadli do siebie usposobieniami, wiekiem, naturą i skłonnościami.

Spisaliśmy na ogromnym arkuszu »wieczysty akt przyjaźni« i, aby mu nadać więcej wagi, jak ongi bracia ślubni[1]), poszliśmy do kościoła, pomodlili się razem, uścisnęli za ręce i ów historyczny dokument ukryli za ołtarzem, przed którym zwykle ksiądz katecheta odprawiał mszę studencką.

Zdawało nam się, że prędzej świat w posadach swoich runie, niż naszą przyjaźń się obali.

W szkole siedzieliśmy w jednej ławce, dopóki nas nie rozsadzili w trzy różne strony, za to, żeśmy nieustannie miewali ze sobą konszachty, zadania jeden od drugiego przepisywali, podpowiadali sobie przy »wyrwaniu«, rysowali karykatury na »belfrów« i kolegów — i chychotali Bóg wie z czego, gdy nas bzik napadł.

Pan profesor Braun, największy nasz prześladowca, podczas lekcyi niemieckiego języka, świdrował nas zawsze swemi mysiemi oczkami i bijąc klassenbuchem[2]) o katedrę, wołał na chybi trafi:

— Hulakiewicz, nie szwecuj!

Dla niego nikt inny nie mógł burzyć spokojności klasy i ogólnej uwagi, tylko Hulakiewicz Mieczysław, Gadziński Antoni, albo ja.

---

[1]) Było zwyczajem u szlachty polskiej, że dwaj przyjaciele przystępowali razem do Sakramentów ŚŚ., a potem w pełnej zbroi słuchali klęcząc mszy św. i składali śluby wiernej przyjaźni. Odtąd zwali się braćmi ślubnymi. Na takim temacie osnuta powieść Kaczkowskiego p. t. »Bracia ślubni«.

[2]) = dziennik szkolny.

Bóg widział, ile w tem często było uprzedzenia.

Pan profesor Cedzik, kaligrafując na tablicy formułki algebraiczne, odwrócony plecami, swoim skrzeczącym głosem upominał na każdej lekcyi »wypracowań«:

— Gadziński, nie przepisuj od sąsiada!...

Do dzisiejszego dnia nie pojmuję, jak on to mógł widzieć, nie mając trzeciego oka na ciemieniu.

Za to pan profesor Ozłowski wynagradzał nam wszystkie niesprawiedliwości i uprzedzenia swoich kolegów; burczał wprawdzie, krzyczał, stawiał w kącie, brał nawet za ucho, ale mimo to był faworytem całej klasy: za »Osła« byliśmy gotowi wszyscy pójść w ogień.

Potrzeba mu też było nazywać się tak niebezpiecznie dla dowcipu sztubaków.

Z Ozłowskiego zrobiliśmy go Osłem, ale w tem przekręceniu nazwiska nie było wcale lekceważenia dla profesora, który — przeciwnie — imponował nam swoją wiedzą i rozumem. Uczył nas polskiego języka i umiał tak jakoś ubarwić, urozmaicić, uprzyjemnić swój wykład, żebyśmy go byli całemi godzinami słuchali; zwłaszcza gdy przynosił z sobą książkę grubą jak brewiarz i swoim pięknym, barytonowym głosem odczytywał z niej całe ustępy z poetów naszych i prozaików.

Okulary wtedy podnosił na czoło wyłysiałe; szeroka, okrągła, tłusta jego facyata rozpogadzała się, jak wiosenne słońce, oczy przy szpakowatych brwiach jaśniały blaskiem młodości, usta się uśmiechały — i rozparty na krześle, które pod jego olbrzymią figurą trzeszczało, deklamował z katedry wiersze, kiwając ku nam

swą dużą głową i przerywając sobie niekiedy zapytaniem:

— A co?... prawda, jakie to piękne?...

— Prawda, panie profesorze! — odpowiadaliśmy mu chórem, a on — swoim nieco rubasznym zwyczajem uciszał nas, mówiąc:

— No! to cicho, hebesy!... milczeć i słuchać dalej.

Ale znać było na starym romantyku i entuzyaście [1]) zadowolenie z tego wrażenia, które na naszych twarzach odczytywał.

Ileż to razy całowaliśmy go po rękach, aby z katedry nie schodził i swojej lektury nie przerywał, chociaż Cwajnos w korytarzu na pauzę dzwonił i ze wszystkich klas wysypywał się na klasztorny dziedziniec rój wypuszczonej młodzieży.

Co prawda, jego to była wina, że na innych wykładach, zamiast słuchać suchej gramatyki łacińskiej lub klasyfikacyi minerałów, z głową podpartą niby w wielkiem skupieniu uwagi czytywaliśmy ukradkiem rozłożone na kolanach książki, zapominając o całym świecie, dopóki nie złapał nas na takiej kontrabandzie [2]) profesor.

— Hulakiewicz!... co ty tam masz pod ławką? — spadało nagle na głowę biednego Mieczka pytanie z katedry lub od tablicy.

— Ja?... ja nic nie mam, proszę pana profesora.

— Kłamiesz; zaraz pokaż, co tam czytasz!...

---

[1]) = dosłownie: natchniony, rozmarzony. Tu: marzyciel, idealista.

[2]) = towar wprowadzony do kraju bez opłaty cła. W ogóle: przechowywanie rzeczy zakazanych.

— Kiedy doprawdy, nic nie mam.

— Piętkowski, zabierz-no mu tam książkę. A co?... nie mówiłem!... Heraus!... na środek!

Zaczerwieniony jak rak ze wstydu i gniewu na kolegę, rzucając mu spojrzenie bazyliszka, zapowiadające sójkę w bok [1]) po godzinie, szedł przyłapany Hulakiewicz do tablicy, a książka wędrowała do rąk pana profesora.

Tak bywało i z Antkiem i ze mną, aleśmy byli niepoprawni pod tym względem.

Gadzińskiego najłatwiej było złapać na czytaniu, bo miał zwyczaj kiwać się jak rabin nad książką, jeśli go bardziej zajmowała, i drapać się w swoją słomiano-żółtą, nastroszoną czuprynę; niebieskie, okrągławe oczy jego śmiały się lub mgłą zachodziły, perkaty nosek z rozdętemi nozdrzami zdawał się jeszcze bardziej w górę zadzierać, a świeże, pełne, jak u dziewczyny delikatne usta, drżały rozchylone albo uśmieszkiem albo jakimś bolesnym wyrazem, który był u niego objawem rozrzewnienia i uczucia, rozbudzonego potajemną lekturą.

Mieczek w naszej trójce wyróżniał się najbardziej; smukły brunet o czarnych jak tarki oczach, o śniadej cerze i sobolowych brwiach, które się niemal stykały z sobą, miał wreszcie w całej fizyonomii, w ruchach, w mowie, w całem zachowaniu się wydatny wyraz energii i żywego temperamentu.

On to przewodził nad nami dwoma i górował swoją wyższością, którąśmy chętnie uznawali. Gorąca

---

[1]) = uderzenie kułakiem w bok.

dusza, dzielne serce było w tym chłopcu i pociągało ku niemu nieprzeparcie.

Jemu też przyszła raz nieszczęsna myśl do głowy, abyśmy wszyscy trzej poszli kiedyś »hinter«. Tak się to wtedy mówiło, gdy kto zamiast do szkoły w pogodny dzień wymykał się na ślizgawkę w zimie, albo na włóczęgę zamiejską w lecie.

— Wiecie co — mówił do nas — jutro zrobimy sobie święto. Pójdziemy het aż za stryjskie rogatki, pod same Dyabelskie młyny, od samego rana. A wiecie, co będziemy robili?... no, zgaduj Antek!

— Pójdziemy się kąpać.

— Głupi jesteś. Niby to dla kąpieli warto iść hinter!... Będziemy czytali Mickiewicza. Rozumiecie?

Zrobiliśmy obaj wielce zdziwione i uradowane miny. Taka majówka ogromnie się nam podobała; a pokusa zwalczyła wszelkie skrupuły.

Umówiliśmy się, że na drugi dzień przed ósmą rano zamiast do szkoły, pójdziemy het, za rogatki, z książkami związanemi rzemykiem, aby się w domu niczego nie domyślano; zabierzemy z sobą Mickiewicza i będziemy czytali swobodnie, wśród lasu, w polach, z daleka od miejskiego zgiełku i gwaru, pod gołem niebem, na świeżem powietrzu.

Oho, tam nam żaden profesor nie przeszkodzi, nikt nam książki z pod ławki nie odbierze, nikt nas za ucho do kąta nie zaprowadzi!...

— Wiecie co — z roziskrzonemi oczyma wyrwał się Antek — ja wezmę psa z sobą.

— Psa?... na co nam pies?... będzie nam zawadzał.

— Nie bójcie się; będzie nam weselej. On mnie i tak prawie co dzień odprowadza do szkoły, to się nie spostrzegą.

— A no dobrze, niech pójdzie i pies.

Znaliśmy tego czarnego kundla, który w uczuciach Antka zajmował chyba równe miejsce z nami i był jego ulubieńcem. Wabił się Filuś i brzydki był, jak wszystkie zwykle Filusie, ale przy każdem spotkaniu łasił się do nas i szczekał z taką radością, jakby nam chciał wyrazić swoją życzliwość, jako kolegom swego panicza.

Wybraliśmy się we czworo tedy »poza szkołę«, po raz pierwszy w życiu zdobywając się na tak karygodną odwagę.

— Nie chce się wam sztubaki siedzieć w dusznych murach, wolicie lasy, pola, wertepy[1]) za miastem, nudzi was zatabaczony pan Cedzik ze swoją algebrą, wykradacie się za miasto na włóczęgę, lumpusy!... No idźcie, idźcie, bębny, ja udam, że was nie widzę.

Kochane słonko, jak ono nam przyświecało dnia tego, jak ono zaglądało nam w oczy i pokazywało w najpiękniejszych blaskach zielone łąki, pofalowane pagórki, srebrną strugę, skaczącą po kamieniach od strony lasu, pod którym na wzniesieniu stały rudery dwóch opuszczonych wiatraków, nazywanych Dyabelskimi młynami — dlatego, że w nich według podania straszyło nocami, a tylko wiatr gospodarował.

Filuś biegał z wywalonym ozorem, obwąchiwał wszystkie ścieżyny na pastwisku i szczekał przed nami, taki kontent, jakby nie kundlem był, ale uczniakiem, który sobie zrobił święto i uciekł za rogatki.

---

[1]) kręte drogi, parowy, wąwozy.

Wynaleźliśmy sobie ustronną kotlinkę, pozrzucali kurtki, poukładali się w trawie, jak pastuchy na brzuchu, kapelusze nasunęli z fantazyą na tył głowy i Mieczek wyjął z kieszeni książkę, której tytuł pokazał nam z daleka.

— Widzicie, co to jest? — spytał z miną ważną — to jest »Pan Tadeusz«, to jest najpiękniejsza książka na świecie! — objaśniał nas tonem mentora, podnosząc nad głową wystrzępiony tomik w bronzowych okładkach.

— A ty skąd wiesz o tem? — odważył się go spytać Gadziński.

— No, kiedy wam mówię, to tak jest — ofuknął go Mieczek. — Skąd wiem, to wiem. Zresztą spytajcie się Osła, jeśli mnie nie wierzycie.

Przypomnienie takiej instancyi nie bardzo było trafne w takiej chwili.

Po co wywoływać wilka z lasu!...

Leżeliśmy wprawdzie ukryci w trawie, zasłonięci burzanami, ledwie nas widać było z pomiędzy zieleni, kwiatów polnych, szerokich liści łopuchu i kęp pokrzywy, nieopodal rosnącej; ale gdyby Pan Bóg dopuścił, mogło nas i tu dojrzeć profesorskie oko, a wtedy...

Nie śmieliśmy pomyśleć o następstwach; cóż nas zresztą obchodzić mogła przyszłość teraz, dopókiśmy byli na swobodzie, używając kradzionej wolności i czasu?

Mieczek jakimś uroczystym, obniżonym głosem, aby mu więcej nadać poważnego brzmienia, zaczął czytać powoli, z przejęciem, tą szkolną, monotonną trochę metodą:

Litwo, ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił...

My dwaj, brodę oparłszy na dłoniach, wpatrzeni w niego, jak w księdza katechetę, gdy opowiadał o niebie, czyśćcu i piekle, słuchaliśmy z wytężoną uwagą pierwszej księgi poematu, który miał być według zapowiedzi Mieczka »najpiękniejszą książką na świecie«.

Ach! i był nią dla nas wówczas i został później, gdyśmy tyle innych książek w życiu przewertowali.

Dokoła pachniały zioła i świeży powiew, zbierający słodką woń polnych kwiatów, muskał nam twarze zrumienione, brzęczały w powietrzu muszki, przelatywały nad głowami pochylonemi białe motyle, z pastwisk poblizkich dochodził brzęk dzwonków, bydło ryczało, albo Filuś ujadał, nie troszcząc się o naszą lekturę.

Czasem przybiegł, siadł na tylnych łapach, popatrzał na nas chwilę i jakby obrażony, że naszej uwagi nie zwraca, szczeknął złośliwie i pogonił znowu wymyślać za coś krowom, skubiącym trawę pod lasem.

Z góry patrzało się na nas słonko i jakby zaglądając Mieczkowi przez ramię, czytało z nim razem drobny druk, nakryty cieniem jego kapelusza.

Co pewien przeciąg czasu, wyrywaliśmy sobie książkę z rąk ze słowami:

— No, poczekaj, teraz ja trochę poczytam.

— Nie, teraz ja, ty po mnie.

— Cicho bądźcie, naprzód ja skończę całą księgę — rozstrzygał Mieczek w roli głównego lektora.

I znowu zamykaliśmy usta, zasłuchani w tę dziwną powieść, co swą prostotą i plastyką[1]) przed dzie-

---

[1]) sztuka przedstawiania kształtów w formie ciał, a nie tylko ich zarysów (jak n. p. w malarstwie). Tu: wyrazistość, dobitność.

cinnemi oczami przesuwała obraz za obrazem, choć wielu barw w nich dojrzeć jeszcześmy nie umieli.

Gdyby nam słońce było dobrze nie dopiekło, bylibyśmy się może nie spostrzegli, że południe i że wracać trzeba. W szkole gdzieś tam już dawno — na dwunastą — wypłoszył dzwonek Cwajnosa wszystkie klasy i należało wracać śpiesznie do domu.

Przez drogę mówiliśmy na przemian o »Panu Tadeuszu« i o niebezpieczeństwie, jakie nam groziło z takiego opóźnienia; przychodziły nam teraz trochę niewczesne refleksye, czy się nam upiecze ta grzanka i czy potrafimy wykręcić się przed Osłem, gdy spyta po południu:

— A gdzież to panowie dobrodzieje ranek dziś spędzili?...

Zaczęliśmy nabierać bardzo poważnych wątpliwości, czy nam od pierwszego wejrzenia w domu i szkole nie wyczytają całej prawdy w oczach.

— Co ty powiesz? — pytaliśmy się jeden drugiego.

— A ty?...

— Ja powiem, że mnie głowa bolała.

— A ja także.

— No, to i ja.

Najprzytomniejszy z nas wszystkich Mieczek odrazu wpadł na myśl, że to nie bardzo bezpieczna wymówka.

— Przecież nas trzech nie mogła boleć głowa — zauważył. — Ciebie musi boleć co innego, bo się poznają — zwrócił się do mnie.

— No to ja powiem, że mnie zęby rwali.

— A jak ci każą przynieść świadectwo?...

Kolizya stawała się coraz kłopotliwszą, im bliżej dochodziliśmy do miasta.

Pamiętam, że zgrzany, wystraszony, przesadzając po trzy stopnie na schodach, wpadłem przez kuchnię z bijącem sercem do domu i struchlałem na widok zastawionego stołu do obiadu.

Na zegarze wskazówki stały na pierwszej!... Spóźniłem się o całą godzinę.

Surowe spojrzenie matki dreszczem mnie przejęło.

— Skąd ty wracasz? — spytała.

Stałem z oczami spuszczonemi w ziemię, musiałem być czerwony, jak karmazyn[1]). Nie mogłem słowa przemówić.

— Zamknęli cię za karę?...

Odetchnąłem. Chwała Bogu, pomyślałem, nic nie wiedzą, przypuszczając, że mnie przytrzymali w szkole.

— No mówże, kiedy się ciebie pytam?... siedziałeś?...

Skinąłem machinalnie głową na potwierdzenie.

— Ślicznie!... cóż znowu zbroiłeś?...

Instynkt zachowawczy podsunął mi pierwsze lepsze kłamstwo.

— Wylałem atrament Piętkowskiemu.

— I za to cię wsadzili?

— A za to.

— Zobaczymy, już ja się tam dowiem u Cwajnosa. Siadaj do stołu.

Pierwsza burza przeszła szczęśliwie, ale przeczucie ostrzegało, że się na tem nie skończy.

---

[1]) barwik czerwony wydobywany z jajeczek owadu, zwanego »czerwiec polski«, niegdyś ważne źródło handlu w Polsce. Stąd też szlachtę noszącą suknie tej barwy karmazynami zwano.

Przychodziła mi ochota wyznać rozpaczliwie całą prawdę, paść matce do nóg i zwalić wszystko na »Pana Tadeusza«. Naturalnie, któż winien, jeśli nie on?... czemu jest najpiękniejszą książką na świecie?... czemu nas tak oplątał swojem opowiadaniem?... dlaczego nas skusił do czytania i do słuchania przez tyle godzin?...

Nie wiem, co mi usta kneblowało.

Krztusiłem się, ale jadłem. W czternastu latach wewnętrzne rozterki nie psują apetytu i głodu nie pozbawiają.

Pakowałem w siebie, jakby ten obiad miał być ostatnim moim obiadem w życiu.

Nareszcie wstaliśmy od stołu.

Mój Boże, co to za kontrast był z tą ucztą w Soplicowie, gdzie to »wszyscy siedli i chołodziec litewski milcząc żwawo jedli«.

Tu także jedli w milczeniu, ale było to milczenie ponure i złowróżbne, przynajmniej dla mnie jednego.

Moje przeczucia mnie nie omyliły. Kiedym po południu przyszedł do szkoły, już na mnie czekał Cwajnos w korytarzu ze słowami krótkiemi, jak komenda:

— Do kancelaryi!...

Zrobiło mi się gorąco, jakby mi kto ukropu za kołnierz nalał.

— Wszystko już wiedzą! — powiedziałem sobie, jak zbrodniarz przyłapany na gorącym uczynku, a przed oczyma mignęła mi rózga zmoczona w soli na lumpusów.

Naturalnie, że wszystko wiedzieli.

Argusowe[1]) oko dyrekcyi szkolnej przebijało mury, sięgało za rogatki, widziało, jak trawa rośnie, nie miałożby nas widzieć, jak hinter chodzimy!...

W pokoju dyrekcyjnym, gdzie przy długim stole, zielonem suknem zasłanym, siadywali profesorowie na konferencyach, gdzie stały szafy oszklone z książkami, gablotki z minerałami, kollekcye[2]) chrząszczów i motyli wisiały na ścianach, wypchane ptaki i zwierzęta czworonożne stały na półkach i z góry spoglądały na panów profesorów, jakby ze strachu przed nimi powyskakiwały tak wysoko — w pokoju tym, zwanym »kancelaryą« krótko a wymownie, Ozłowski z miną surową i zafrasowaną prowadził z nami śledztwo.

Staliśmy przed nim wszyscy trzej, jak delinkwenci na śmierć skazani, skubiąc w pomieszaniu i niepewności palce i z pod oka trwożne spojrzenia rzucając w stronę drzwi, przy których, jak liktor z rózgą pod pachą, stał okrutny Cwajnos.

Niechybnie czekała nas sromotna egzekucya, którą tylu innym przepowiadano przed nami.

Ozłowski patrzał na nas przez swoje srebrne okulary i kiwał głową na znak grozy i oburzenia.

— To wy, urwisy, chodzicie poza szkołę, zamiast się uczyć, zamiast chodzić na wykłady i czerpać z krynicy wiedzy i oświaty? — mówił do nas swoim mentorskim[3])

---

[1]) Argos, syn Agenora, miał sto ócz; Hera używała go do pilnowania Iony. Hermes go zabił. Stąd obrazowo: czujne oko.

[2]) zbiory.

[3]) poważny, moralizujący ton. Mentor, przyjaciel Odysseusa, opiekował się w czasie jego nieobecności synem jego Telemakiem; imię jego znaczyło odtąd tyle co: wychowawca, opiekun.

tonem — co z was będzie, nicponie?... czego po was doczekają się wasi poczciwi rodzice, wasze społeczeństwo, wasz kraj, który ma dosyć niedołęgów, głupców i leniuchów, że bez was trzech hebesów mógłby się śmiało obejść?... Wyłamujecie się z pod przepisów szkolnych, z pod prawa, które każdy człowiek od dzieciństwa powinien się nauczyć szanować, bo bezprawia gubią tak jednostki jak całe narody. Rozumiecie to, baranie głowy?...

W tem miejscu zrobił pauzę i patrzał na nas ze smutkiem i odrazą.

— Zrobiliście źle, musicie być dla przykładu ukarani. Wstydźcie się, uważałem was zawsze za coś lepszego, a za to wszystko pięknie mi się wywdzięczacie. Ha, no trudno!... Kto nie słucha ojca, matki, będzie słuchał psiej skóry... Jakóbie, stołek!...

Było nam tak, jakby każdemu pod pręgierzem [1]) wypalono piętno żelazem na obu policzkach.

Cwajnos spełnił rozkaz pana profesora; uwijał się szybko, szastał nogami i rękawy z miną srogiego kata podciągał.

Ozłowski chodził po kancelaryi, sapał ciężko, jak zmęczony słoń... i o wstydzie, o hańbo! brzozową rózgą siekł powietrze, jak gdyby wprawiał rękę do wymiaru sprawiedliwości.

Tłusta, okrągła twarz jego drżała nerwowo i mieniła się; widać po nim było, jak ciężkie ma przed sobą zadanie.

— Ty Hulakiewicz — zaczął znowu po chwili, stając przed bladym jak ściana i nachmurzonym Mieczkiem —

---

[1]) (z niem. Pranger) = słup, przy którym wystawiano winowajców na widok publiczny lub smagano.

jesteś najstarszy z waszej trójki; powinieneś mieć najwięcej rozumu i dawać dobry przykład. Za to, żeś o tem nie pamiętał, dostaniesz pierwszy admonicyę pro memoria [1]).

Hulakiewicz stał, jak skamieniały; palce mu tylko w stawach trzeszczały.

— Potrzeba ci było włóczyć się z nimi gdzieś po świecie, zamiast siedzieć przykładnie w szkole? — mówił dalej profesor. — I gdzieżeście to byli, urwisy?... no, mów, skoro się pytam.

— Byliśmy za stryjskiemi rogatkami — mruknął za Mieczka Gadziński.

— Za stryjskiemi rogatkami, a-hm!... pewnie grać w piłkę?

— Nie graliśmy, proszę pana profesora.

— No, to gonić wiatr w polu?...

— Leżeliśmy cały czas w trawie.

— W trawie leżeliście?... i cóżeście robili?... może papierosy palili?...

Antek spojrzał na mnie i na Mieczka, jakby się z nami porozumieć chciał wzrokiem, namyślał się chwilę, nagle głośno i z rezygnacyą wybuchnął:

— Czytaliśmy, proszę pana profesora.

Ozłowski okulary swoim zwyczajem na czoło zarzucił i uważniej zaczął się nam przypatrywać z niedowierzaniem.

— Czytaliście?... hm, hm!... a kto to widział?... — odezwał się po chwili udobruchanym nieco tonem. — Cóżeście to dobrodzieje takiego chodzili czytać aż za miasto? — spytał badawczo.

---

[1]) na pamiątkę.

Mieczek, który dotąd milczał jak zaklęty, włożył rękę w zanadrze i, wyjąwszy stamtąd książkę, podał ją spokojnie Ozłowskiemu.

Stary profesor rózgę wziął pod pachę, otworzył tomik, spojrzał na pierwszą kartkę — i twarz mu się nagle rozpogodziła. Objął nas wszystkich trzech jednym rzutem oka i chrząkać zaczął.

— Jakto?... »Pana Tadeusza« czytaliście?...

— A tak.

— Cały czas?...

— Cały czas.

— Toście tego w domu czytać nie mogli?

— A nie mogli, bo mamy tylko jeden egzemplarz, a Hulakiewicz mówił, że to jest najpiękniejsza książka w świecie, i kazał nam się spytać o to pana profesora — jednym tchem objaśniał za nas trzech Gadziński głosem podniesionym i drżącym ze wzruszenia.

Ozłowski swoją dużą głową potrząsał i przewracał kartki poematu, jakby w milczeniu potwierdzał usłyszane zdanie; poczciwe jego, rozumne, siwe oczy przebiegały po drukowanych wierszach i zatrzymywały się dłużej przy niektórych ustępach. Widać było, że się lubuje nimi, jak znawca, jak smakosz, któremu trudno oderwać się od każdego kęsa. Usta mu się poruszały szeptem, pojedyncze wyrazy wymykały głośniej, unosił się samą muzyką wiersza — aż po chwili zaczął machinalnie, mimo woli czytać:

Sędzia, z boku rzuciwszy wzrok na Tadeusza
I poprawiwszy nieco wylotów kontusza,
Nalał węgrzyna i rzekł: »Dziś nowym zwyczajem
My na naukę młodzież do stolicy dajem;

I nie przeczym, że nasi synowie i wnuki
Mają od starych więcej książkowej nauki;
Ale co dzień postrzegam, jak młódź cierpi na tem,
Że niema szkół uczących żyć z ludźmi i z światem.

Urwał nagle, jakby się złapał na jakiejś niestosownej myśli, i zaczął dalej książkę przeglądać, a im dłużej czytał i przewracał karty, tem więcej pogodniała mu twarz, uśmiechały się oczy, tem jaśniejszy wyraz osiadał mu na okrągłych policzkach i już nie patrzał na nas, tylko z tą rózgą pod pachą, z »Panem Tadeuszem« w ręku chodził po kancelaryi i od czasu do czasu mruczał półgłosem:

— Tak, tak!... macie słuszność, to dla nas najpiękniejsza książka!... poezya... mądrość... dobroć... tak, tak!... »Kto zbadał puszcz litewskich przepastne krainy!« o!?... albo to: »Był gaj z rzadka zarosły, wysłany murawą...«

Zapomniawszy o swojej roli egzekutora, usiadł, rozparł się przy zielonym stole i, jakby nas nie było, czytał, głową kiwał, czasem nogą przytupnął, szeroką dłonią czoło gładził. Powtarzał swoje:

— Tak, tak, najpiękniejsza książka!...

Cwajnos przy stołku stał z miną ogłupiałą i czekał, kiedy to się skończy. Niecierpliwiło go to niespodziewane intermezzo [1]).

Odważył się przystąpić do stołu i spytać:

»Jakże będzie, panie profesorze?...

---

[1]) (z włoskiego) = lekki utwór muzyczny, wykonywany dawniej w międzyaktach oper lub tragedyi. W ogóle: wypadek nagły, nieoczekiwany, przerwa w akcyi.

Ozłowski głowę podniósł i jakby kończąc ostatni wiersz poematu, klapnął mu książką pod samym nosem i z pamięci wygłosił:

> I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
> A com widział i słyszał, w księgi umieściłem.

Potem jakby się zreflektował, powstał żywo, podszedł do nas i już bez śladu gniewu i surowości, oddając książkę Mieczkowi, rzekł prawie wesoło:

— No, kiedyście tam tylko »Pana Tadeusza« czytali, nic więcej, to wam jeszcze tym razem tylko, tym razem daruję, ale za karę... za karę przepiszecie mi trzy razy całą... księgę dwunastą.

Pogroził nam palcem jednej ręki, ale drugą poklepał z ojcowską jakąś serdecznością po ramieniu i wypchnął z lekka ku drzwiom.

Tak się skończyła nasza przygoda z »Panem Tadeuszem«, a kiedy dziś o niej pomyślę, miałbym ochotę przycisnąć do ust grubą, tłustą rękę Ozłowskiego, gdyby jej już dawno nie był złożył na piersiach pod cmentarną darnią...

(„Świat“, dwutygodn. illustr., Kraków, 1890).

ELIZA ORZESZKOWA.

Z GRECKICH PODAŃ.

Wiele zim i wiosen, mnóstwo dni i nocy upłynęło, odkąd statek, uwożący świętości Troi i garść ocalałych jej synów, po morzach szerokich wiódł nieskończoną wędrówkę, a krótkie spoczynki znajdował w bezludnych przystaniach. Ale nigdy jeszcze Eneasz i wierni towarzysze jego nie zaznali trwogi tak wielkiej, jak gdy po morzu Jońskiem żeglując, ujrzeli wybuchającą Etnę.

Wieść niosła, że tą górą gniew bogów przytłoczył zbuntowanego przeciw nim Tytana i że, przez to brzemię nawet nieskruszony, Encelades [1]) łonem ziemi wstrząsał i na jej powierzchnię rzucał ogniste oddechy. Inni utrzymywali, że w otchłani wulkanu mieści się kuźnia Hefajstosa, w której ten kowal bogów, z pomocą Cyklopów [2]), kuje gromy dla Zeusa i zbroje dla bohaterów.

---

[1]) jeden z Gigantów, olbrzymów, zbuntowanych wraz z Tytanami przeciw Zeusowi.

[2]) lud dzikich olbrzymów, na Sycylii i sąsiednich wyspach mieszkający, miał jedno oko na środku czoła. Pomagali oni Hefajstowi w jego pracach. Jeden z nich, Polifem, znany z Odyssei.

Ale na wątłej łupinie, przez bałwany morskie to pod same obłoki wznoszonej, to pogrążanej w wodne przepaści, w pomroku nocy, w chmurach dymu i popiołu, w huku skał, których odłamy, jak rozgorzałe pociski, o same gwiazdy zdawały się uderzać, Trojanie, po tysiąc razy coraz inne oblicze śmierci spostrzegając, wielkiemi głosy zapytywali bogów: czemu, gdy Troja runęła w gruzy, im jednym, im nieszczęsnym żyć jeszcze wypadło?

Blade też były ich czoła i członki drżące od śmiertelnego znużenia i strachu, kiedy jutrzenka, różowe palce podniósłszy nad światem, zmroki rozpędzać i morze uciszać zaczęła. Z powracającym na świat spokojem im spokój nie wrócił. Cóż, że jedne ominęli groźby, skoro czeka ich mnóstwo innych?

Cóż, że do przyrzeczonej Hesperyi[1]) część drogi przebyli, skoro ona jeszcze daleka, niepewna? Więc, jak człowiek, który na łożu boleści pamięcią wraca do pierwszej przyczyny swych cierpień — pamięcią, gniewem, żalem, nienawiścią wrócili oni ku źródłu swych nieszczęść. Od szczytu masztu, na którym majtek zniechęconemi dłońmi spajał porwane wiązadła, do dna okrętu, gdzie robotnicy toporem i piłą naprawiali poniesione szkody; od czterech rzędów silnych wioślarzy, w których dłoniach dziś drżały wiosła, do niewiast i dzieci, spłakanym szeregiem obsiadujących krawędzie statku, wzbił się krzyk jeden:

— Przekleństwo Grekom! Przekleństwo tym, przez których, jak wyrzucone z gniazda pisklęta, bez macie-

---

[1]) zachodni kraj, nazwa Italii u Greków.

rzystej piersi jesteśmy! Przekleństwo tym, którzy, jak wicher w głębiny puszczy, w szczęśliwe mury nasze wnieśli zagładę, a hufce naszych rycerzy zagnali w otchłanie Hadu, jak w szczeliny ziemi stopa przechodnia gna drobne robactwo! Przekleństwo tym, przez których od głodu kurczą się nam wnętrzności, mózg przepalają skwary, dusze w męczarniach tają; przez których od łez zczerniały lica niewiast trojańskich, a mężowie trojańscy poznali — co trwoga! Przekleństwo Grekom!

Tak płakał, wyrzekał, wył okręt, z podartym żaglem w tę i ową stronę błądzący po coraz gładszem, cichszem, od świateł jutrzenki różowem morzu Jońskiem. Tylko rycerze, stalą okryci, hełmy na oczy spuściwszy, milczeli i stali rzędem bezsilnych w sile swej posągów. Im nie uchodziły skargi i złorzeczenia głośne, lecz skargą i złorzeczeniem, straszniejszem nad tamte, były zsiniałe ich wargi i dłonie, u rękojeści mieczów skurczone. Wtem spostrzeżono ląd.

— Wyspa! — zawołał sternik, doświadczony po morzach wędrowiec.

— Capraria![1]) — zawtórzył stary Anchizes.

— Z wysp cyklopowych najdziksza, od gęstych puszcz ciemna, czołami skał zjeżona! Oprócz niedźwiedzi i dzikich bawołów, Polifema, z Cyklopów najokrutniejszego, i niezliczonych jego owiec, nie przebywa tu nikt z żyjących.

Jakto nikt? A otóż dochodzi od niej dźwięk ludzkiego głosu i do człowieka podobna istota ukazuje się na jej brzegu.

---

[1]) jedna z wysp t. zw. egackich w pobliżu Sycylii.

— Ratujcie! — woła — zabierzcie mię z sobą! kimkolwiek jesteście, ludźmi będąc, ulitujcie się nad człowiekiem!

Był-że to człowiek? Zczerniałej skóry jego ukryć nie mogły cierniami głogów spojone łachmany, a z kości nędza mu uczyniła wypukłą i ostrą rzeźbę. Włosy zjeżone, z liśćmi dzikich bluszczów i badylami uschłych ziół zmieszane, do zwierzęcia o dziko wzrastającej grzywie czyniły go podobnym; zwierzęcemi też wydawały się jego gibkie i wystraszone skoki, gdy to jak spragniony jeleń ku źródłu, ku liżącym ląd falom przybiegał, to na okręt, ku któremu przecież błagalne wyciągał ramiona, bacznie spojrzawszy, cofał się z trwogą, i do skały, jakby w czeluściach jej zniknąć pragnął, obnażonemi plecy przypadał, to znowu, nieprzepartą mocą popychany, naprzód biegł i wołał:

— Biada mi! kim jesteście — poznaję! Czerwienią krwawą świecą mi wasze frygijskie czapki![1]) Wyście Trojanie, lecz wyście i ludzie, a ludźmi będąc, ulitujcie się nad człowiekiem!

Na statku znowu się podniósł krzyk, w którym jedno tylko słychać było imię:

— Grek! Grek! to Grek!

Lecz on już płynął ku okrętowi, na którym wschodzące słońce rozpłomieniało czerwoność czapek frygijskich — płynął do krawędzi jego rękoma uczepiony, dźwignął się w górę, ukląkł, ramiona chude, nagie, zczerniałe, nad pochyloną głową swą wyciągnął i wśród

[1]) mieszkańcy Frygii w Azyi mniejszej (i Trojanie też) nosili czapki wysokie zagięte w górze ku przodowi.

na-poły obnażonych mieczy, wśród twarzy gniewem i groźbą ziejących przemawiać zaczął:

— Grekiem jestem, o Trojanie, i przeciw wam walcząc, do Hadesu strąciłem niejednego z obrońców Pergamu [1]. Daremniebym to zatajał, bo ród mój z mowy mej poznajecie, a gdy tchórzostwo do nienawiści waszej dołączyło-by pogardę, odwaga może zjednać mi szacunek i nienawiść zmniejszy. Lecz o wrogowie! to wam także powiedzieć muszę, żem nie był z tych, którzy rządzą światem i mordy narodów dyktują. Achaemenides [2] mi na imię, a plemię moje, od najdawniejszych czasów, orało ziemię i pasało trzody w Ulissesowem królestwie. Wśród żyznych pól Itaki stała nasza chata, u której progu ojciec mój, Hyles, każdego ranka glinianym larom [3] składał ofiary z garści żyta i grudki białego miodu. Ocieniał ją gaj dębowy, w którym moja matka żołędzie dla trzody zbierała, a po zielonej łące wił się zdrój przejrzysty, do którego me siostry po wodę chodziły, w powrocie jedną ręką dzbany na głowach niosąc, a drugą u piersi trzymając pęki zerwanych narcyzów. O nizkie, ciemne, napół spróchniałe ściany mojej chaty! o siwa głowo ojca! łagodne oblicze matki! dziewicze sióstr mych postacie! O gaju, w którego głębiach tak miękkie rosły murawy! strumieniu srebrny, nad którym w miesięczne noce zielone Dryady splatały taneczne koła! i wy, ubogie krosna mojej matki, i wy,

---

[1]) Pergama lub Pergamon = zamek w Troi.

[2]) towarzysz Odysseusa, zostawiony przez tegoż na Sycylii. Eneasz, przejeżdżając tamtędy, zabrał go ze sobą do Italii (Vergilius, Aeneis, III, 613).

[3]) ubóstwione dusze zmarłych krewnych, dobre duchy.

białe gołębie sióstr moich, i ty, Mopsusie, wierny stróżu chaty! jakżem dziś od was daleki? Na wojnę Ulisses młodzież Itacką wołał. On wódz, król, ciał, trzód i woli naszej pan! Podwójne ofiary ojciec złożył larom, matka łzami oblała mi głowę, siostry na rozpuszczone włosy załamane dłonie zarzuciły, Mopsus szedł za mną długo, daleko, aż miłośnie językiem ręki mej dotknąwszy, z pyskiem zwieszonym do chaty powrócił... Dziesięć lat pod murami Troi spędziłem, a po wojnie, pomyślnie dla Greków skończonej, Ulisses, płynąc tędy, wypadkiem mnie samego na dzikiej tej wyspie zostawił. Spragniony, strumienia czy stawu szukając, odszedłem daleko, a kiedym do brzegu wrócił, już tylko ich żagle, jak w oddaleniu znikające szczęście, na skraju niebios bielały. Bogowie! czy ludzkim ustom daliście słowa, któremi opowiedzieć mógłbym rozpacz moją ówczesną i męki późniejsze i to wszystko, co mię dziś, o Trojanie, w moc waszą oddaje? Nie wiem już, ile razy wóz słońca obiegł sklepienie nieba i opadały mię zmroki nocy, odkąd tu jestem; wiem tylko, że trwa to długo, o Trojanie, jakże długo! Jaskinia, w skale przez morze wykuta, jest mojem mieszkaniem, a pożywieniem korzenie ziół i dzikie jagody. Ludzkiego głosu spragniony, słyszę we dnie i w nocy ryk niedźwiedzi, krakanie kruków, pisk jastrzębi i tentent bawolich kopyt. Do ognia, jak zziębłe dziecię do ciepłej piersi matki, tęskniący, widzę go tylko w gromach, którymi Zeus te wody bez granic i te skały, chmur sięgające, uderza. Tak wielką jednak mocą bogowie śmiertelnika z życiem połączyli, żem nie pogrążył się w te wody, ani głowy pod gromy te nie wystawił. Żyć chcę, chcę jeszcze z ziemi ssać jej słodkie soki, chcę do Itaki powrócić i pójść tą

ścieżką, która wśród zbóż i mirtów do naszej chaty prowadzi. O, ludzie, żem Grek, zapomnijcie! Myślcie, żem dziecię, któremu przeznaczenie usta od ojczystej ziemi oderwało. Z tego miejsca katuszy uwieźcie mię ku zaludnionym brzegom, a do stóp wam padłszy, błogosławić będę wspomnienie Troi, która wielkich zrodziła synów!...

Rzekł i, wzroku nie odrywając od ziemi, z ramiony wyciągniętemi nad głową, czekał, czy na nią ostrza miecza spadną, czy spłyną słowa litości.

Gwar powstał wielki, lecz słów litości słychać w nim nie było. Wioślarze wiosła, niewiasty ręce, a rycerze miecze podnieśli.

— Zapomnieć! żeś Grek, zapomnieć! — zawołał mężny Lelex; — tak dziwnej prośby żaden z bogów nawet nie słyszał! Gdyby te sępy, które wnętrzności Prometeusza szarpały, dzióby swe wbiły mi w czaszkę, jeszcze-by z niej wygryźć nie mogły pamięci o tem, com winien Grekom.

Pelagon ponury, ten, którego usta od pierwszej minuty tułactwa uśmiechem nie okrasiły się ani razu, teraz śmiał się na całe gardło.

— Ojczysta ziemia! słuchajcie! słuchajcie! on, przed synami Troi, żale swe za ojczystą ziemią wywodzi! A gdzież jest, Greku, nasza ojczyzna? Kiedy tym mieczem gardło ci rozporę, z krwią mi wypluniesz odpowiedź: Gdzie Trojan ojczyzna?

Silny Eupalamon już się był rzucił ku nędznemu gościowi statku, lecz krok i ramię powstrzymał, chcąc wprzód z nim poigrać. Więc z kornymi ukłony zapytywać go zaczął, jaka zmienność przeznaczenia, jaka niełaska bogów sprawiła, że syn zwycięskiej Itaki, po-

tężnego Ulissesa żołnierz, o gościnę i wybawienie błaga nędznych, wzgardzonych tułaczy. A gdy Eupalamon tak żartował, piękny Amintor, o płowych włosach i dziecięcej twarzy, od przedwczesnej nienawiści gorejąc cały, do ziemi przysiadał, palce wyciągał, psiemi imiony Greka ku sobie przyzywał, a potem krzyknął, że siedmiu braci pies ten mu pożarł, i blade lica w dłonie ukrywszy, takim zawył płaczem, od którego serca śmiertelnych pękają. Co słysząc Panopeusz, z tkliwej przyjaźni dla Amintora znany, błyskawicę z miecza nad klęczącym skrzesał i pierwszy zawołał:

— Śmierć Grekowi!

— Śmierć mu! — powtórzyli Testias, Arkas i Hipokoon; — wilka tego, który w nasze dostał się ręce, w ofierze cieniom Hektora zarznijmy!

Ale inni, zawziętsi, może srożej cierpiący, wykonanie wyroku zwlekali, bo, roztrącając miecze towarzyszy, dla greckiego przybłędy żądali śmierci także, lecz nie rychłej, powolnej, srogiej. Nawet Eneasz, o wzniosłem sercu, tych których był wodzem, nie powściągał, i słyszały fale morskie, skały i Etnę owijające dymy, kiedy potężnym głosem swym zawołał:

— Śmierć Grekowi!

Wtem za oszalałymi ozwał się głos:

— Stójcie! Na bogów, dłonie i miecze wstrzymajcie! Anchizes mówi!

Był to głos drżący, słaby, głos, którego siłę pochłonęły trudy i lata; jednak usłyszeli go wszyscy i, z podniesionemi rękami, wiosłami, mieczami, stanęli wszyscy rzędem milczącym i sfornym. Gdy tak stawali, odsłonili ołtarz, który na okręcie lśnił nikłym płomykiem ofiarnym, a u ołtarza stojącego starca, którego

biała chlamida[1]) mniej była białą od długich falistych włosów.

Jak w ciszy, następującej po burzy, szemrzą liście, przez lekkie wiatry kołysane, tak na okręcie, po wrzawie rozgłośnej, zaszemrzał szept:

— Anchizes mówi!

I Eneasz, który starca tego z pożogi i rzezi na własnych wyniósł ramionach, okiem wodza po towarzyszach powiódł, na znak milczenia i czci powtarzając:

— Anchizes mówi!

Ale Anchizes jeszcze nie mówił; w milczeniu na przód postąpił, głowy przybysza palcami dotknął i, wzrokiem za sobą iść mu rozkazawszy, ku ołtarzowi go powiódł. Tu, gdy ramiona gościa, na znak błagania, objęły stopy domowych bóstw trojańskich, dłoń nad nim wyciągnął i wyrzekł:

— Trojańskim bogom w opiekę oddaję tego wroga Troi!

Ojcu Eneasza, ostatniej odrośli Pryamowego rodu, ulubieńcowi boskiej Afrodyty, nikt tu sprzeciwić się nie śmiał; lecz zdziwienie bez granic otwarło wszystkie usta, a do wnętrzy wepchnięta wściekłość płonęła w oczach i szumiała w głośnych oddechach.

Na ustach zaś Anchizesa spoczywał uśmiech, tylko dzieciństwu i głębokiej starości właściwy: niewinny, łagodny i cichy. Dziecię uśmiecha się tak, bo nie grzeszyło jeszcze i nie widziało grzechu; starzec, bo winy cierpieniem opłacił i źródła win poznał. Z tym uśmiechem na zwiędłych ustach Anchizes przemówił:

---

[1]) płaszcz, spinany na prawem ramieniu lub na piersiach, używany najczęściej w podróży.

— Gdym Greka tego na statku naszym ujrzał i groźby, przez was na niego miotane, usłyszał, wróciła mi do pamięci zagadka, którą raz, kiedym chłopięciem był jeszcze, dziad mój, Laomedon, gości swych zabawiał. Przy uczcie siedzieliśmy wszyscy, a choć huczna wesołość rozpierała zrazu ściany pałacu, po pieśni, którą na żądanie wodza wyśpiewał ślepy lirnik, zamknęły się nam usta i głowy na piersi opadły. Ślepiec był natchniony, a pieśń jego smutna opowiadała o klęskach, znojach, zgonach, którymi bogowie nawiedzili dawno zgasłe pokolenie. Pierwszy Ilos, sławny wódz Dardanów, głowę, którą po stokroć wieńczyły wawrzyny, podniósł i rzekł: »Czegoż się smucimy? Jakaż jest moc, która w pomyślności płakać nam każe nad mękami dawno pomarłych?« A Kitos, z zapalczywości znany, zawołał: »I nie naszego-to rodu strapienia ślepiec ten opiewał; owszem, wrogów to naszych żałobną opiewał historyę! Więc cieszmy się raczej, że bogowie pomścili krzywdy, przez nich pradziadom naszym zadane!« Rzekł, ale nie cieszył się wcale i, choć ku czarze rękę posunął, wnet ją opuścił, w ciężką wpadając zadumę. Tu mądry Alkman, tym razem przecież sprzeczności własnych i Kitosowych pojąć nie mogący, przed Laomedonem czoło pochylił: »Najstarszy laty i najwyższy chwałą z pomiędzy nas, Laomedonie, wytłómacz nam, dlaczego żywych zasmuca smutek pomarłych, obecnych bolą bóle oddalonych i wrogom nawet łzy cieką z oczu na odgłos strasznych przeznaczeń wrogów?« Z Alkmanem wszyscy — wodzowie, rycerze, zaledwie dorosłe chłopięta — zgodnie powtórzyli: »wytłómacz nam, Laomedonie!« Laomedon dla ucieszenia swych gości powiedział wówczas

zagadkę, której, Trojanie, z ust moich dziś wysłuchajcie.

Tu Anchizes wzrok, dotąd w powietrzne przestrzenie utkwiony, ku obecnym zwrócił, a widząc, że ciekawem i nieruchomem otaczają go kołem, znów mówić zaczął:

— Bogowie, tworząc ten świat, sprawili, że wszystko, co na ziemi i niebie istnieje, śmiertelnych rozdziela i różni. Rozdzielają ich lądy i morza, czasy i przestrzenie, cnoty i winy, bogactwo i nędza, geniusz i głupota; rozdzielają ich linie postaci i rysy oblicz, zamiary głów, krwi wybuchy i serc pożądania. Różnią ich barwy, z których jedną każdy nad inne wynosi, i nawet bogowie, z których jednemu każdy chętniej, niż innym, cześć święci; różnią ich zboża, które wszyscy największemi garściami rwać usiłują, kwiaty, po które schylają się wszyscy, zwycięstwa, z których każdy największy zysk mieć pragnie, i klęski, których brzemiona każdy z siebie chce zwalić na innych; różnią ich: głód i sytość, rozpacz i nadzieja, waga i miara, myśl i mowa. A w tym powszechnym rozdziale śmiertelnych, który ich po przestrzeni i czasie rozsiewa, na kształt piasku o ziarnach osobno lecących w otchłań, w tem poróżnieniu, które podobnymi ich czyni do ptaków Memnona[1]), rodzących się po to, by w bratobójczej walce ród swój wytępić — jest jedno łoże, na którem spoczywają

---

[1]) Memnon, syn Tytona i Eos, zabił Antilochosa, przyjaciela Achillesa, a potem zginął z ręki Achillesa. Towarzyszy, którzy go pogrzebali, zamienili bogowie w ptaki; te co roku zgromadzały się nad jego mogiłą i kilka z nich ginęło w krwawych bojach, staczanych na cześć zmarłego.

wszyscy, jeden potok, z którego wszyscy piją, jeden kwiat, który wszyscy zrywają, i jedno pieczywo, z którego pożywają we wszystkich czasach i miejscach. Jest to węzeł — mówił Laomedon — który sprawia, że żywych zasmuca smutek pomarłych, obecnych bolą bóle oddalonych, wrogowie nawet łzy przelewają na odgłos strasznych przeznaczeń wrogów. Tak mówił Laomedon, a ode mnie usłyszycie, Trojanie, że ten-to węzeł, tajemniczy a święty, dziś Greka tego przed mieczami waszymi osłania!

Skończył. Na ołtarzu gorejący płomyk ofiarny złotawe blaski kładł mu na brózdy oblicza; u stóp ołtarza klęczący Achaemenides czekał, czy z mowy starca wypadnie mu zguba, czy łaska. Trojanie milczeli. Nie rozumieli zagadki. Nawet Eneasz o wzniosłem sercu rozwiązać jej nie potrafił i, najśmielszy z towarzyszy, chociaż przed ojcem pokorny, spuszczając powieki, prosił:

— Powiedz nam, wielki, jak zwie się to łoże, ten potok, ten kwiat i to pieczywo, wszystkim śmiertelnym wspólne, a tajemniczym i świętym węzłem dziś tego Greka osłaniające przed trojańskimi mieczami.

Anchizes rzekł:

— Cierpienie.

Zrozumieli. Wioślarze wiosła, niewiasty ręce, rycerze miecze w dół opuścili, a wkrótce na okręcie z naprawionym żaglem, po cichych błękitach morza szybującym, nieszczęśliwi Trojanie ku zaludnionym brzegom uwozili nieszczęśliwego Greka.

(„Stare obrazki“, Warszawa, S. Lewental 1888).

JAN ZACHARJASIEWICZ.

KONFEDERAT.

Jadąc ze Lwowa ku zachodowi, za dzień drogi stajemy na popas w małem, ubogiem miasteczku. Biedne, pochylone domki i pokrzywione dachy ukazują, że mieścina strasznie się postarzała i podupadła. Wprawdzie tu i ówdzie bieleje domek z cegły, płaskim nakryty dachem, ale to nie jest domek dawnego polskiego mieszczanina, to dom propinatora lub liweranta szutru, albo siedziba starego, pensyonowanego wojskowego. Pierwotni tego miasta mieszkańcy przenieśli się powoli na cmentarz za mały kościółek, reszta zbiedniała i wynędzniała.

Kilkaset kroków za cmentarzem widzisz kupę rozsypanych gruzów i przegniłych belek. Dzikie zielsko porosło te gruzy, a zapadły loch okazuje, że dawny mieszkaniec tego domku prócz głównych potrzeb życia myślał także i o wygodzie. Miejsce to po dziśdzień nazywa się Konfederatówką, a kronika małego miasteczka opowiada o niem dziwne rzeczy.

Przed stu prawie laty mieszkał tu szanowany powszechnie mieszczanin, Szymon Radysz. Dawniej miał

on dom w samem mieście, ale licho jakieś napadło go, sprzedał dom i za cmentarzem, daleko od miasta wystawił sobie chałupę i płotem dokoła ogrodził. Różnie sobie w mieście tłómaczono te fantazye Radysza. Jedni mówili, że Radysz, który był bednarzem z rzemiosła, wycinając razu jednego łozy na obręcze za cmentarzem, trafił na skarb zakopany i, aby tem dogodniej dalsze pod ziemią robić poszukiwania, kupił grunt i na nim dokoła się ogrodził. Inni znowu podejrzywali bednarza o mniej szlachetne zamiary. Za cmentarzem ciągnął się szeroki parów, zarosły odwiecznie krzakami leszczyny. Leszczyna należała do dziedzica wsi poblizkiej. Otóż, aby tem dogodniej zaopatrywać się bezpłatnie w dobry bednarski materyał, wybrał sobie Radysz to ustronie na mieszkanie, z którego miał do parowu czynić nocne wycieczki.

Czy tak czy owak ludzie mówili, zawsze jednak było coś w tem prawdy, bo chudy i blady niegdyś bednarz zaczął czerwienieć na twarzy i tuszy przybierać, a nawet sprawił sobie siwe futro z krymskich baranów, jakiego nawet i cechmistrz [1]) żaden w mieście nie miał.

Podejrzenia sławetnej rady miejskiej musiały wreszcie dojść do uszu bednarza i mocno go zmartwić, bo od niejakiego czasu zerwał wszelkie stosunki z miastem, a nawet z cechem, i tylko na ręce młodszego brata cechowego składał dwa dukaty w złocie holenderskiem na ofiarę św. Szymona Judy, patrona cechu. I stało się, że co pierwej tylko półsłówkiem do uszu sobie szeptano, powtarzano teraz głośno na radzie miejskiej, a miano-

---

[1]) przełożony cechu, t j. towarzystwa (bractwa) rzemieślników uprawiających tosamo rzemiosło (cech szewski i. t. p.).

wicie na każdej stypie[1]), kiedyto człowiek mimowoli o sprawę z sumieniem trąci.

Mimo to miał Radysz powodzenie w całej okolicy. Jego obręcze były łykowate a giętkie jak rozpalone żelazo, jego beczki i cebry słynęły na jarmarkach w okręgu pięciu mil. Ale w miarę tego, jak się towar jego między ludzi coraz więcej rozchodził, tem mniej miał bednarz znajomych i przyjaciół, a wkońcu ujrzał się tak osamotnionym jak lipa przy drodze. Nikt do niego nie przychodził, w drodze nikt go nie pozdrawiał ani nawet »pochwalony« nie powiedział. Bednarz zaczął znowu blednąć na twarzy, brzuch mu spadł, a siwe futro jakoś poszarzało. I mówili znowu ludzie między sobą na stypie, że złe sumienie wysysa tłuszcz z człowieka i czyni go chudym jak deska.

Walenty Serdak, szewc z profesyi, który najbliżej bednarza mieszkał, opowiadał co piątek zgromadzonym w szyneczku mieszczanom, że u jego sąsiada jakieś dziwne dzieją się rzeczy.

Razu jednego odmawiając wieczorem Anioł Pański, jakoś mimowoli zaszedł aż do płotu, który odgradzał szerokie podwórze bednarza. I mimowoli rzucił okiem przez dziurę w płocie i obaczył ogromne stosy wystruganych drążków, które bednarzowi do niczego nie są potrzebne. A gdy w nocy przez okno wyglądnął, aby obaczyć, czy już węgierka[2]) świta, ujrzał przed domem u bednarza kilka latarń, które tu i ówdzie się kręciły, a gdy ucho nadstawił, słyszał wyraźnie, że kilka wozów

---

[1]) uczta dla gości przybyłych na pogrzeb.

[2]) prawdopodobnie = gwiazda poranna czyli Venus, która wschodzi od strony Węgier, t. j. od południa.

z podwórza wyjeżdżało, a przy tem coś niby szabla brzęczała.

— Że tam coś niechrześcijańskiego się święci, dałbym za to dwa zęby wybić — zawołał Mateusz Piróg, nieprzyjaciel i współzawodnik Radysza. — Bo i cóżto, święty Antoni, alboto moje obręcze gorsze czy co? Każdą z nich jak strunę opaszę wkoło palca, a jak opaszę beczkę, to i sam lucyper jej nie rozbije! święty Antoni...

— Mówicie kumie jak z kantyczek — odparł Serdak — ale gdybyście widzieli i słyszeli, co ja widzę i słyszę...

Piróg pokręcił ucho z radości, kazał dać nową kolej i przysunął się do szewca, aby go z całą uwagą wysłuchać. Oblizał się od ucha do ucha na samą myśl, że wykrywszy jakąś niesłychaną zbrodnię przed radą miejską, będzie mógł pozbyć się swego współzawodnika w kunszcie bednarskim.

— Bo to widzicie, kumie — prawił dalej do szewca — nasze miasto to jakby zgraja łotrów i robójników. Węgrzynek, co to w wilią Matki Boskiej złamał mi dwa żebra, to szubienik. Mówią, że żyda jakiegoś zabił i pieniądze po nim chapnął. A ten Drawicz, co to taki ogromny brzuch niezasłużenie przed sobą nosi (na sam święty Jędrzej sprawę z nim przegrałem), to urwipołeć, jakich mało. Mówią... ale co mi do tego! A Damian Szeląg, który dwa cale z mego gruntu mi ukradł, a miasto mimo to zasądziło mnie na koszta procesu, ten Szeląg... to włosy na głowie stają, kumie — włosy na głowie stają! Jakem Piróg!

Szewc pokiwał głową i uśmiechnął się, jakby chciał mówić: Wszystko to niczem jeszcze, wiem ja coś więcej o Radyszu! Piróg zrozumiał uśmiech Serdaka,

oblizał się jeszcze raz, a chcąc szewcowi język rozwiązać, prawił dalej:

— Święty Antoni! albo familia Mruków, która mi posag pierwszej żony zabrała, to sami złodzieje. Ich wielki przyjaciel i opiekun, sławetny pan Łaskota, który cztery razy był wójtem, a w sam dzień św. Michała z izby sądowej za drzwi mnie wypchnął, to niech o nim nic nie mówię, bo nikt wierzyć nię będzie. Niktby nie pomyślał, że tak przyzwoity i tłusty obywatel miasta ma pod kapotą dyablą duszę... ale później o tem...

I tak prawił Piróg, a szewc pił jedną szklanicę po drugiej, mrugał siwemi oczyma do swego przyjaciela, a gdy już czupryna trochę mu się rozgrzała, potarł ręką po czole i rzekł:

— To wszystko nic, panie Mateuszu, ale Radysz... oho-ho! Radysz...

— Domyślam się — wtrącił z radością Piróg — ten parów za cmentarzem...

— Oho-ho!... parów — dodał szewc i sięgnął po szklankę.

— Mówią, że niegdyś w tym parowie zabito kogoś.

— Oho-ho! jeszcze gorzej.

— Święty Antoni!... a Radysz wygląda tak... tak...

Szewc wytrzeszczył na bednarza siwe oczy i zamilkł. Piróg kręcił się na stołku z niecierpliwości, a szewc jak patrzał tak patrzał.

Po chwili daremnego oczekiwania trącił Piróg szewca łokciem i szenął mu do ucha.

— Możebyśmy przeszli do alkierza, tu ludzie słuchają. Szewc kiwnął głową, a Piróg, wziąwszy obie szklanice do ręki, poprowadził przyjaciela do wązkiej, ciasnej komórki na poufną pogadankę.

Obejrzawszy się wokoło jak człowiek, który wielką tajemnicę ma na sercu, zaczął Serdak:

— Już od roku dzieją się u mego sąsiada dziwne rzeczy, którychby nikt nie chciał wierzyć.

Piróg przysunął się do szewca.

— Zaraz jak tylko śnieg stajał — ciągnął dalej szewc — wybrał się Radysz w drogę i aż dwa tygodnie bawił. Potem wrócił i nic nikomu ani słówkiem o tej podróży nie wspominał.

— Ale wy przecież wiecie — przerwał bednarz.

— Gdzie tam, jak w rogu nic nie wiem! — odparł szewc, popijając ze szklanicy.

Piróg skrzywił się na takie opowiadanie szewca, a widząc, że przyjaciel jego znowu wargami ruszać zaczyna, słuchał go dalej z wyrazem największej ciekawości.

— Razu jednego — ciągnął dalej szewc — w niedzielę po nieszporach poszedłem sobie ponad wodę, aż wtem coś koło mnie mignęło i chyłkiem prosto do Radysza pobiegło.

— I cóż to było? — zapytał w pocie czoła bednarz.

— Był to wieprz tłusty z czarnym płatkiem na grzbiecie, tak... dwuroczniak — odparł szewc, popijając ze szklanki. Wprawdzie wieprz ten nie należy do rzeczy, ale zwróciwszy moją uwagę...

— I cóż dalej? — zagadnął zniecierpliwiony bednarz.

— Bo to widzicie, kumie, przy tłustym wieprzku przypomniałem sobie, że mielnik Stefko obiecał mi zemleć ziarno do karmienia prosięcia, które na św. Judę kupiłem. Otóż przypomniawszy sobie to wszystko, puściłem się do mielnika, a że to już był późny wieczór,

więc nie szedłem ścieżką przez cmentarz, ale wygonem[1]) ponad wodę. W młynie zastałem Stefka i dziesięcioro dzieci jego, a pogadawszy z nim to i owo, zabierałem się właśnie do wychodu, gdy do młyna wszedł żyd z długą siwą brodą i siwemi pejsami.

Piróg zagryzł usta z niecierpliwości. Szewc tymczasem wycedził do dna szklanicę, a dając tym sposobem do poznania swemu przyjacielowi, że mu w opowiadaniu gardło wysycha, odkrząknął i mówił dalej:

— Zrazu myślałem, że to Abraham z Koniowa, ale gdy dobrze mu się przypatrzyłem, okazało się, że to żyd wcale obcy, który przyjechał mleć pszenicę na mace. A że to jest rzecz każdemu znana, że w takim razie łapią żydzi tłustego dzieciaka i krwi mu nieco upuszczają...

— Święty Antoni! — krzyknął bednarz — już się wszytkiego domyślam! Radysz żydowi dał dziecko na zabicie! Zbrodnia, święty Antoni, niesłychana zbrodnia! To gardłem pachnie!...

— Hola, hola kumie — zawołał szewc — tego ja nigdy nie mówiłem, bo nic o tem nie wiem. Tylko to właśnie przyszło mi na myśl, gdym owego żyda obaczył, i nawet mielnikowi szepnąłem do ucha na pół z żartem, aby na swego Wojtka uważał, bo nie przymierzając chłopiec jak prosię! A on mi na to:

— Nie bójcie się, i sam Radysz nie złapie go, choć mówią, że z dyabłem ma spółkę.

— Wiem, Radysz łapie dzieci i sprzedaje... cedził niby od niechcenia Piróg.

---

[1]) droga, którą się bydło wygania na pastwisko, zostawiona między ornemi polami.

— Czy łapie, czy nie łapie, już ja tam tego nie wiem — mruknął szewc, niekontent z próżnej szklanki — ale że to mielnik powiedział, na to mogę dwa palce do góry podnieść i ukrzyżowanego Chrystusa pocałować.

— I cóż właściwie wiecie o Radyszu — zapytał bednarz, który począł się obawiać, że jego przyjaciel nic a nic o Radyszu nie wie.

— Com wiedział, tom powiedział i kwita — odburknął Serdak, nienawykły rozmawiać na sucho. — Albож to nic, co mielnik mówił, hę? A żyd stary, z długą siwą brodą, to nic, hę!... a wieprz z czarnym płatkiem na grzbiecie, to także nic, hę? Szkoda do was gęby, Mateuszu, czas się straciło i w gardle sucho!

Rzekłszy to, wysunął się szewc z alkierza, a Piróg nawet tego nie spostrzegł. Zawiedziona nadzieja usłyszenia czegoś nadzwyczajnego popsuła mu humor i wprawiła go w czarną melancholię. Już od kilku lat przemyśliwał nad tem, jakimby to sposobem pozbyć się strasznego swego współzawodnika, który chleb mu odbierał.

Wszystkie jednak praktyki nic nie pomogły. Napróżno w cechu i przy każdej stypie prawił o złych ludziach, którzy biednemu człowiekowi na świecie żyć nie dają; napróżno nakładał na Radysza największe składki, gdy był podcechmistrzem, nareszcie czernił go i ogadywał jako człowieka bezbożnego: wszystko to nic nie pomogło, Radysz z każdym targiem miał większy odbyt, a konewki i beczki Piroga rozsychały się i ciekły.

Spostrzegł wreszcie bednarz, że szewc z alkierza się wysunął. Jakkolwiek nic się od niego nie dowiedział, coby jego współzawodnikowi zaszkodzić mogło, tajemniczy jednak sposób mrugania szewca, gdy o Radyszu

mówił, utwierdzał go w przekonaniu, że u Radysza dzieją się wprawdzie rzeczy niestworzone, o których jednak Serdak nic powiedzieć nie chciał. W okamgnieniu przyszła bednarzowi szczęśliwa myśl do głowy.

Postanowił sam zakraść się pod okna Radysza i na własne oczy obaczyć to, co w rozognionej miodkiem fantazyi już jasno widział. Napiwszy się więc jeszcze na ochotę z pierwszym lepszym powroźnikiem, który mu się pod rękę nawinął, i wybiwszy żonkę, która już zmrokiem po niego do szynku przyszła, wyszedł tylnemi drzwiami z alkierza, aby jak najprostszą drogą udać się pod okna Radysza.

Z poza stodoły Mikołaja Stopy wychylił się księżyc, a że była pełnia na niebie, to świecił Pirogowi jasny i duży jak dno od beczki. Mrucząc sobie coś pod nosem i wymachując rękami, szedł bednarz śmiało i odważnie wązką uliczką poza ogrodem Bartosza Czapki. Gdy przyszedł do cmentarza, zrobiło mu się jakoś ckliwo. Na cmentarzu ukazują się zazwyczaj złym ludziom duchy i biorą ich z sobą do grobów. Jakby mrowie przebiegło przez pacierz bednarza, zacząwszy od wielkiego palca aż do łysiny.

Zatrzymał się chwilę, a nawet wytrzeźwił trochę ze strachu. Do tego jeszcze samym środkiem cmentarza szło coś czarnego. Bednarz przycupnął do ziemi i już chciał drapnąć do żonki, gdy mu nagle na myśl przyszło, że duchy zazwyczaj biało chodzą, a tu coś niby w czarnej idzie kapocie. Ciekawość jego wzięła górę nad bojaźnią, gdy obaczył, że ta czarna postać prostą ścieżką zmierza do domu Radysza. Nabrał więc ducha i kilku susami dopadł krótszej drogi przez zarośla.

Księżyc podniósł się tymczasem na niebie i zmalał jak krążek od faski. Bednarz przedzierał się przez krzaki jak mógł najciszej, a podwinąwszy poły kapoty, przeskoczył wreszcie głęboki rów i stanął na wygonie, który prosto prowadził do zagrody Radysza. Zaledwie bednarz odsapnął i poły kapoty na dół spuścił, gdy nagle usłyszał za sobą jakby brzęk szabli. Obrócił się więcej ze strachu niż z ciekawości — zdawało mu się, że włosy wyrosły mu z łysiny i kołkiem stanęły do góry.

Tasama czarna postać, którą widział na cmentarzu, stała tuż za nim.

Był to żyd chudy, wysoki, z długą białą brodą i długimi pejsami, kubek w kubek takisam, jak go Serdak widział we młynie. Najokropniejsze myśli przebiegły przez łysą głowę bednarza. Nogi zachwiały się pod nim, zęby dzwonić poczęły. Do tego niby od niechcenia odwinął żyd poły kaftana, a długa zakrzywiona szabla błysnęła do księżyca.

— Kto jesteś i czego tu chcesz? — zawołał żyd wcale nie żydowskim akcentem.

Bednarz chciał w tył skoczyć przez rów i dostać się do leszczyny, ale nogi zdrętwiały pod nim. Nie ruszył się z miejsca.

— Kto jesteś, gadaj! — powtórzył żyd tak czystym polskim akcentem i tak jakoś po polsku przyłożył rękę do szabli, że bednarz mimo to, iż był prawym katolikiem, zgiął się we dwoje i żyda za kolana ułapił.

— Sławetny i wielmożny panie — bełkotał w strachu — ja jestem Mateusz Piróg, bednarz z profesyi, obywatel tego miasteczka, który ot tak wyszedłszy z domu, bo mam złą żonkę, i aby jej pasyi nie dać powodu... wyszedłem ot tak, dla świeżego powietrza...

Żyd zaśmiał się głośnym, szczeropolskim śmiechem, aż mu siwa broda z jednej szczęki oderwała się. Bednarz prosił w duchu Boga, aby się ziemia pod nim rozstąpiła, ale ziemia była twarda jak opoka, musiał stać i oko w oko patrzeć na tajemniczego żyda.

— Nie po katolicku kłamiesz, Mateuszu Pirogu — zawołał śród śmiechu nieznajomy, poprawiając fałszywej brody — ty o tym czasie tu w tym parowie... oho-ho! ptaszku, nie wywiniesz się z łapki...

Bednarz poskrobał się w łysinę, aby jaki szczęśliwy koncept z niej wydobyć, i rzekł po chwili:

— Znają mnie tu wszyscy ludzie, byłem przez dwa lata podcechmistrzem, ożeniłem się raz drugi z Małgorzatą, rodzoną siostrą byłego naszego cechmistrza, sławetnego Mikołaja Kryłosa, który ma dwa domy w samem mieście i jest najgrubszym obywatelem miasteczka.

— Oho-ho! — zaśmiał się znowu nieznajomy i sięgnął ręką pod kaftan, gdzie była duża zakrzywiona szabla.

— Zna mnie nawet ojciec gospodni z pod Opatrzności w Jarosławiu — mówił dalej bednarz — robiłem dla niego na wino trzy beczki z suchej dębiny i napuszczałem nawet dęgi[1]) siarką, jak tego żaden bednarz ani nawet Jakób z Krakowca nie potrafi, ani nawet Radysz, który niezasłużenie ma reputacyę najlepszego bednarza...

Nieznajomy zaśmiał się, przez co wprawił bednarza w tak wielką konfuzyę[2]), że gębę zamknął i stał

---

[1]) właściwie dąga = deszczułka na dno u beczki (Linde).
[2]) zmieszanie, pomieszanie, zawstydzenie.

jak niemy. Widząc to nieznajomy, rzekł łagodniejszym już głosem:

— Po twoich nocnych wycieczkach w tym dzikim parowie widzę, że jesteś duch niespokojny, a takich mi właśnie trzeba...

— Święty Antoni! — krzyknął bednarz — jam najspokojniejszy obywatel w całem mieście! Mógłbym był wyprocesować majątek po pierwszej żonie mojej, ale dla miłego spokoju zrzekłem się. Sąsiad wlazł mi w grunt: dla miłego spokoju posunąłem się. Krewny mojej żony w uroczyste święto wypchnął mnie za drzwi: dla miłego spokoju nie zaniosłem żadnej skargi. Jam człowiek najspokojniejszy!...

— Szczerość twoja podoba mi się, choć czuję pod ręką, że jesteś dyabelnie tchórzem podszyty i drżysz jak osika. Powiedzże mnie, mój ty Mateuszu Pirogu, co stanowi na ziemi całe szczęście twoje?

Bednarz poskrobał się w głowę. Nieznajomy przyszedł mu w pomoc:

— Nieprawdaż, że tłusta pieczeń wieprzowa i baranina duszona?

— Szpikowana czosnkiem i młodą słoninką, sławetny panie — wtrącił ośmielony bednarz.

— I kufel miodu na to, nieprawdaż?

— O święty Antoni! — krzyknął bednarz, oblizując się od ucha do ucha — toby już były specyały...

— Nim tych specyałów dostąpisz — przerwał mu nieznajomy, śmiejąc się głośno, aż się po parowie rozlegało — muszę cię pierwej pasować na szlachcica, bo jak szlachcicowi tak i każdemu dzisiaj człowiekowi najświętszą rzeczą w życiu powinna być — ojczyzna.

Rzekłszy to, wyłamał dość sporą gałąź leszczyny z poblizkiego krzaku i przeciągnął nią bednarza od łysiny aż do bioder.

Bednarzowi zrazu dech w piersi zaparło, ale widząc, że nieznajomy drugi raz się zamierza, jednym susem przesadził fosę i zniknął w krzakach.

Wyszedłszy po niejakim czasie na brzeg parowu, widział na własne oczy, jak ów żyd wchodził do zagrody Radysza.

— Banda rozbójników — pomyślał sobie Piróg — a Radysz hersztem!

I chyłkiem pobiegł do miasta, aby nazajutrz rano całą tę sprawę przed radą miejską wytoczyć, a w razie potrzeby nawet ów kij fatalny w jak najwierniejszem odbiciu na grzbiecie okazać.

Podczas gdy Mateusz Piróg pod ciepłą pierzyną różne sobie o tem zdarzeniu układał relacye, które dnia jutrzejszego szanownej radzie miasta miał przedłożyć, na dębowej ławie u Radysza siedział ów mniemany żyd, ale tak się jakoś odmienił, że niktby go nie poznał. Nie miał ani pejsów ani brody siwej, był czerstwy i rumiany na twarzy, a czarne, w górę podkręcone wąsy sięgały aż gdzieś do uszu. Ubiór jego składał się z ceglastego żupana, z boku wisiała tasama krzywa szabla, która przed chwilą takim strachem nabawiła biednego bednarza.

Po drugiej stronie stołu, oparty na rękach siedział gospodarz. Był to mężczyzna w sile wieku, postawy atletycznej. Czarny, kędzierzawy włos i błyszczące oko znamionowały człowieka przedsiębiorczego. Na stole między siedzącymi stał dzban polewany, z którego koleją śród rozmowy popijali. Koło pieca na ławie sie-

działa staruszka. Stojące koło niej kule świadczyły, że biedaczka albo była kaleką albo na starość na nogi zaniemogła. Twarz jej była żółta jak pergamin, oczy patrzały w słup bez blasku i życia, a sine pomarszczone usta szeptały pacierze.

Gospodarz śród rozmowy rzucał często smutne spojrzenia na ławę pod piecem, a po każdem takiem spojrzeniu zdawało się, że wpadłszy w zamyślenie, nie słyszy mowy swego gościa. Ten zaś, popijając z dzbana, prawił nieustannie.

— To wszystko drapichrósty. Zaledwie rękę na nim położyłem, a już zadrżał jak przed cyrulikiem! Kołtun [1]) jak wszyscy jemu równi i basta. Spać pod ciepłą pierzyną, rano kufel piwa ciepłego z serem, sztukę wieprzowiny i kołacz pszeniczny — to u was wszystko! A jak się zowie — Piróg! cha, cha, cha! — to prawdziwy piróg. Kapuściana dusza zawinięta w tym pirogu!...

— Czy się zwie tak lub owak — zawołał gospodarz podnosząc głowę i wstrząsając czarnymi kędziorami — czy się zwie tak lub siak, to przecież może być tak dobry, poczciwy i butny, jak każdy inny!

— Hola, mości Radyszu! — odparł gość — już to ani Piróg ani Kapusta nic wielkiego nie dokażą. Ja każdego dnia, gdy wstaję i pacierz mówię, dodaję w końcu te słowa: Marcinie, pamiętaj, że się zwiesz Popiel, a chociaż masz tylko pół włóki gruntu, to prze-

---

[1]) właśc. = choroba włosów (plica Polonica). Ponieważ trapiła ona noszących długie włosy, więc kołtunami nazywała pogardliwie szlachta mieszczan, a sama goliła głowy, zostawiając czub na szczycie.

cież musisz tak żyć czysto i uczciwie, jakbyś był królem polskim. Bo musicie wiedzieć, że Popielowie to familia królewska.

Bednarz machnął ręką i rzekł:

— Znałem ja i z waszych wielu nieuczciwych ludzi. Ot naprzykład Jakób Zawiłła z Dąbrowy...

— To być nie może — przerwał mu Popiel. — Jakób Zawiłła z Dąbrowy (którego wcale nie znam), jeśli jest urwipołciem, to pewnie nie szlachcic, ale jakiś wtręt[1]) lub żydowin, a przynajmniej z matki Tatarki... albo...

— Panie Marcinie — rzekł bednarz, kładąc na ramieniu szlachcica szorstką, spracowaną rękę — wiem ja, mości Popielu, że każdy z was, co to tam w skrzyni jakieś papiery po ojcu chowa, jest butny i pyszny i na człowieka z góry patrzy. Wiem ja, że Piróg i wielu innych mieszczan nie są jak byli święci, o których w niedzielę w tej dużej książce czytam. Ale wam przecież nie godzi się wygadywać!...

— Wy, Szymonie, jesteście człowiekiem uczciwym — przerwał Popiel — ale nad swoją uczciwość nic nie rozumiecie.

— Czegożbym nie rozumiał? — zapytał bednarz.

— Wasze całe szczęście jest tłuste podgardle wieprzowe i kiszki z kaszą — ciągnął dalej przybyły.

Bednarz ścisnął pięść i roziskrzonem okiem rzucił na mówiącego. Popiel jakby tego nie widział. Sięgnął po dzbanek i spory haust z niego pociągnął.

— Wasz brzuch jest waszym Bogiem — mówił dalej, nie zmieniając tonu — toż hodujecie go, jak arbuz na

---

[1]) samozwaniec, taki co podstępnie się dokądś dostał.

grzędzie, aby był duży i tłusty jako wieprz karmny. A my, mości Szymonie, my, co to w skrzyniach papiery mamy po ojcach, jesteśmy zawsze gotowi nadstawić karku za Rzeczpospolitą i króla, a nawet dać sobie brzuch na wskróś rozpruć.

— Gdyby tego potrzeba było — mruknął bednarz — to każdy człowiek poczciwy mógłby tosamo zrobić.

— Ba! — przerwał mu Popiel — gdyby tego potrzeba było!... Wy naprzód w waszej radzie miejskiej musicie długo radzić, czy potrzeba czy nie potrzeba, a wkońcu okaże się zawsze z narady, że nie potrzeba!

Bednarz spuścił głowę i zadumał się. Popiel tymczasem wypróżnił dzbanek, a ukroiwszy spory kawał chleba, który na stole leżał, posypał go solą i najspokojniej sobie zajadał. Po niejakim czasie odezwał się znowu:

— Ej, co tam nad tem myślicie, tak jakbyście co dobrego wymyśleć mogli!... Już to, co ja wam powiem, do waszej głowy nie przypadnie! Wasze miejskie głowy wyłysiały pod baraniemi czapkami, ale głupiuteńkie jak dynie!

— Marcinie, gdybyście nie byli w moim domu i z mego dzbana... — przerwał mu groźnie gospodarz.

— Tylko jedną rzecz pozwólcie sobie powiedzieć: Czy miłujecie wy matkę waszą?

Bednarz spojrzał na ławę pod piecem, a jego oczy napełniły się łzami. Jakieś dziwne wzruszenie owładnęło go śród rozmowy z swoim gościem.

— A jakżebym nie miłował? — odparł — toż ona jedna na świecie mi została.

— Otóż każdy z naszych — odparł potomek królewski — ma oprócz swojej matki jeszcze drugą matkę,

którą więcej miłuje od pierwszej. A wiecie, kto jest ta matka nasza?

Bednarz podniósł głowę i z ciekawością patrzał na Popiela. Ten wstał i rzekł z emfazą [1]).

— Ta druga matka nasza jest ojczyna, Rzeczpospolita, którą każdy prawy szlachcic usque ad finem miłować i w dobrej i złej doli, i bronić własną krwią a nawet życiem jest obowiązany, jak to mówi Rej z Nagłowic... Otóż tego wy nigdy nie zrozumiecie, wy, którzy jecie co niedziela kiszki z kaszą i tłuste podgardla wieprzowe...

Bednarz wstał szybko i kilka razy przeszedł się po izbie. Potem zwracając się nagle do gościa, rzekł:

— A czy dobre były drzewca do lanc, które przed miesiącem do marszałka [2]) wyprawiłem?

— Drzewca były doskonałe i zawiędłe, jak być powinny. Próbowaliśmy ich teraz z Puławskim pod Lwowem na regałach [3]), za dwa tygodnie spróbujemy na innych. Przechodząc znowu tędy, zdam wam relacyę...

— Wy nie wiecie, co ja myślałem sobie, strugając te drzewca? — przerwał mu bednarz żałosnym głosem.

— Cóż takiego?

— Ot tak, gdyby to ja, w takiej jak wy macie konfederatce, mógł siedzieć na koniu i kłuć wroga psiąwiarę!...

---

[1]) Z przyciskiem, przesadą.

[2]) Mowa tu o marszałku konfederacyi barskiej, zawiązanej w dniu 29. lutego 1768 r. przez Michała Krasińskiego i Józefa Puławskiego. Pierwszy był marszałkiem, drugi regimentarzem czyli wodzem najwyższym konfederacyi.

[3]) Tak nazywali konfederaci wojsko królewskie, które walczyło przeciwko nim razem z rossyjskiem.

— Zachciewa wam się nie swoich rzeczy — odburknął Popiel.

— Co nie swoich? — krzyknął bednarz i pięść podniósł do góry, ale wnet opamiętał się i z głową zwieszoną siadł na ławie.

Tymczasem zjadłszy spory kawałek chleba, wstał Popiel i rzekł:

— Komu w drogę, temu czas. Mam ważne rzeczy zawieść do Lublina, a tu gotowi jeszcze schwytać człowieka. U was to każdy mieszczanin za kwartę gorzałki sprzedałby mnie.

Biorąc na siebie kaftan żydowski i przywiązując brodę mówił dalej:

— Za gościnę niech wam Bóg zapłaci, a drzewca macie zapłacone.

I chciał już podać rękę bednarzowi na pożegnanie, gdy ten raptem skoczył z ławy i kontent jak człowiek, który nagle dobry koncept schwytał, ozwał się do gościa:

— Na to nigdy nie zezwolę, abyście chałupę moją opuścili, nie wypiwszy ze mną miodku, który ma lat dziesięć! Proszę was, usiądźcie, a ja zakręcę się koło wieczerzy.

Królewski potomek oblizał się na wspomnienie piastowskiego napoju, zrzucił pejsy i brodę i zasiadł znowu na dębowej ławie.

— Wprawdzie mam jeszcze kawał drogi przed sobą — mówił, drożąc się...

— Wyprowadzę was na ścieżkę, która jest dwa razy krótsza od zwykłej drogi — uspokajał go bednarz, a w oczach jego błyszczało coś szyderskiego.

— Pójdę nocą — rzekł Popiel — a z poczciwym człowiekiem, którego szkoda na mieszczucha, warto jeszcze pogawędzić i z gąsiorka[1]) łyknąć.

Bednarz zapalił łuczywo i poszedł do piwnicy po ten dziesięcioletni gąsiorek. Popiel obmacał gąsiorek, powąchał i przyznał, że w całej Popielówce niema podobnego gąsiorka. A gospodarz dogadywał szlachcicowi, nalewał kubki, a starej Maruszce nakazał przyrządzić kiełbasę z kwaśnym sosem.

Wkrótce buchały białe kłęby z dużej na stole postawionej misy, a woń czosnku i octu rozchodziła się po izbie. Popiel chwalił kiełbasę i popijał miodku, a bednarz opowiadał mu z dziwnym wyrazem w oczach różne przygody swego życia. Mówił mu, jak mając lat dwadzieścia, polubił był Paraśkę, córkę chodaczkowego szlachcica, a gdy o jej rękę prosił, to mu odmówiono, bo nie miał żadnych papierów po ojcu. Dalej skarżył się, jak Paraśka mimo, że go miłowała, poszła za mąż i zamiast schudnąć i umrzeć, poczerwieniała i roztyła się i jest najgrubszą niewiastą w całym Zabłotowie. On zaś posmutniał i długo przemyśliwał nad tem, coby to te papiery, zostawione po ojcu, tak wiele znaczyć miały, i dlaczego poczciwy człowiek, który jest zdolny wszystko dobrze zrobić, byłby nikczemniejszym od drugiego. I tak zeszło mu lat dziesięć w tym smutku po Paraśce, odosobnił się od swoich, bo tam wiele plugastwa między nimi, i dzisiaj sam jeden żyje na świecie, jak lipa przy drodze.

Popiel uśmiechnął się, słysząc gospodarza tak wyrzekającego, oświecał go nawiasem, co to jest szla-

[1]) flaszka lub dzban z wązką szyjką, (gęś gąsior).

chectwo i jak potrzeba być szlachcicem, aby coś dobrego zrobić dla Matki powszechnej, ukochanej ojczyzny.

I tak mijała chwila po chwili, koguty zapiały raz i drugi, staruszka zasnęła wśród pacierzy. Już dobrze było po północy, gdy Popiel chciał na nogi powstać. Ale miodek jakoś wlazł w kolana i nie dał ich wyprostować. Widząc to gospodarz, uśmiechnął się złośliwie i prosił gościa, aby jeszcze chwilkę zaczekał. Sam zaś wyszedł do alkierza, z za obrazu św. Szymona Judy wziął pęk ziela i pokruszył je na proch w dłoni. A gdy gościowi nową nalewał szklanicę, nieznacznie wsypał proch ten do miodu.

Popiel zaklął się na św. Marcina, że to będzie ostatni kubek; przyłożył do wąsów i duszkiem w gardło wylał. Ale odsapnąwszy, uczuł w wnętrznościach jakieś gorąco nadzwyczajne. Przed oczyma poczerniało mu. Machnął ręką, jakby chciał kogoś od siebie odpędzić, wybełkotał kilka słów niezrozumiałych, poczerwieniał aż po czuprynę i na zydel [1]) upadł bezwładnie. Co widząc bednarz, uśmiechnął się pod wąsem, a wziąwszy gościa jak dziecko na ręce, położył go w alkierzu na tapczanie i szubą [2]) swoją nakrył. Popiel zaczął się pocić, krople wody jak śliwki zaczęły mu się sunąć po czole. Sapał jak miech kowalski, a gardło syczało mu jak rozpalone żelazo. Bednarz stał długi czas nad nim i zacierał ręce, jak cyrulik, który cieszy się, że napój jego skutkuje, nie myśląc wcale, czy choremu na dobre

---

[1]) prosty stołek drewniany (także zedel).

[2]) futro.

wyjdzie. Ale polskiego szlachcica nie tak prędko śmierć się czepi. Popiel sapał i część choroby jakoś wysapał, reszta wyparowała przez łysinę. Jeszcze węgierka nie zaświtała, gdy się przebudził i zdumionem okiem potoczył dokoła. Na stołku koło niego siedział bednarz. Miał łzę w oku i w jakiemś dziwnem zamyśleniu patrzał na mały tłómoczek, który koło niego na podłodze leżał.

— Tam do kata — krzyknął Popiel, otwierając szeroko oczy — jakoś zmrzyło mi się, a tu trzeba w drogę. Pojutrze muszę stanąć na miejscu — mam ważne z sobą papiery od Puławskiego. Tam do kata, a cóż znaczy ten węzełek, Szymonie?

— Przygotowałem się do drogi — odparł sucho bednarz.

— Do jakiej drogi? — zapytał szlachcic, usiłując z tapczana się podnieść.

— Do drogi, w którą wy iść mieliście, a w którą ani dzisiaj ani jutro nie pójdziecie! — odparł obojętnie Radysz.

— Jakto, ja nie pójdę?... — krzyknął Popiel, aż myszy pod podłogą zadrżały.

I chciał równemi nogami stanąć na ziemi, ale głowy ani o włos nie podniósł od poduszki. Zdawało mu się, że ktoś do jego łysej pałki nalał ołowiu albo przynajmniej przybił go do tapczana trzema gwoździami. Wiercił się i kręcił zdumiony szlachcic, ale ani ręka ani noga nie słuchały go i leżały martwe jak drzewo. Krzyknął: Jezus, Marya, Józef! Krzyknął ku otrzeźwieniu: Polska Królowo; ale ani jedno ani drugie nic nie pomogło. Spocił się nie ze strachu, ale z indygnacyi [1])

---

[1]) oburzenie (z łac.).

nad samym sobą, przeklął miód bednarski i kufle bezdenne, lecz wszystkie te praktyki nie ruszyły go z miejsca.

— Mater Dei — zawołał z rozpaczy — mam ważne papiery, a tu ani rusz! Trzeba może pić rumianek i tyzannę [1]) cały dzień!

Bednarz z nieznacznym uśmiechem patrzał na wiercącego się na tapczanie szlachcica, który w tej chwili wydawał mu się podobnym do św. Wawrzyńca na rozpalonej kracie, jak to na obrazie w kościele widział. I zdawało się, że niemniejsze od św. Wawrzyńca cierpi męki poczciwy szlachcic, który obowiązku nań włożonego w tej chwili nie mógł wypełnić.

— Rumianek i tyzanna! — jęczał szlachcic, krzywiąc się, jakby mu dyabli rozpaloną smołę do gęby lali.

— I to nie jeden dzień ani dwa — ozwał się bednarz.

— Co mówisz!

— Walenty z Zabłotowic pił za wiele tegosamego miodu i leżał cały miesiąc!

— Chryste na krzyżu!

— Jeżeli ważne macie papiery — mówił dalej bednarz — a macie mnie za poczciwego człowieka, to dajcie, a ja z nimi pójdę w imię Boga. I tak droga niebezpieczna, a ja bednarz przesunę się wszędzie. Stara Marucha będzie przy was, nie braknie wam niczego. W chorobie będzie wam smażyła pirogi na młodej słonince, które same do gardła lezą.

— Nie, to być nie może — krzyknął Popiel — ja sam muszę oddać to pismo.

---

[1]) odwar ziarn jęczmienia lub owsa nieco omielonego, używany dawniej jako napój chłodzący.

— To mi dacie wasz stary papier, co wam ojciec zostawił, a ja umiem przecież gadać i powiem, żem Popiel, szlachcic od Sambora.

Popiel skrzywił się i szyderczo spojrzał na mieszczanina. Po chwili zamyślił się.

— Wszak was tam daleko nikt nie zna — mówił dalej bednarz.

— To prawda, ale...

— Jeśli idzie o sprawę ojczyzny, jak sami mówicie — ciągnął nieśmiało bednarz — to przecież...

— Nie! to być nie może...

— Więc niech tam hetmana waszego czy marszałka na łeb pobiją, co mi tam! — ofuknął się bednarz.

Popiel chciał się ze złości w łysinę uderzyć, ale ręka jego była bezwładna jak kloc drzewa. Gryzł wąsy i wargi i sapał za dwunastu. Długi czas milczeli obaj. Już na dworze zupełnie pobielało.

Bednarz wstał z ławy.

— Gdzie idziecie? — zapytał Popiel.

— Zbierać się na targ do Jarosławia — odparł bednarz.

— Poczekajcie, trzeba coś zrobić, coś uradzić — przeklęty dereniak!

— Niema innej rady. Dla mnie droga do Lublina, dla was rumianek.

— Możebyście tak jako bednarz poszli i powiedzieli, że Marcin Popiel upił się na dereniaku i sam nie mógł... Nie, nie... lepiej powiedzcie, żem umarł, żem zwaryował, powiesił się i utopił — jęczał nieszczęśliwy potomek królewski. Bednarz na to nic nie odpowiedział, tylko zaczął się na targ wybierać. Popiel był w rozpaczy.

— No to czekajcie — zawołał — trzeba coś zrobić, niema ani chwili do stracenia. Dam wam wszystko, co chcecie, pismo i papiery moje rodowe. Ale Szymonie, na rany Ukrzyżowanego, przysięgnij mi, że w drodze nie splamisz mego klejnotu, przysięgnij, że w karczmie nic nie ukradniesz, że przed każdą figurą zdejmiesz czapkę, że zdybawszy wroga, przed nim nie stchórzysz, tylko śmiało w łeb palniesz, że wzięty na tortury pisma nie zdradzisz i że zapłaty za twoje niebezpieczeństwo od nikogo nie weźmiesz. Rano i wieczór mów do siebie: Jestem Marcin Popiel, królewskiego rodu, prowadź go Panie Boże, jak na niego przystoi. Przysięgasz?

— Przysięgam — zawołał bednarz i wzniósł dwa palce do góry. W jego oczach zamigotała dziwna radość.

— Ale i wy, Marcinie Popielu, przysięgnijcie mi — rzekł po chwili bednarz.

— Popiel nigdy nie przysięga — przerwał z indygnacyą szlachcic — tylko daje słowo szlacheckie.

— A więc o to słowo szlacheckie was proszę.

— Na co?

— Abyście wyzdrowiawszy mieszkali tu w mojej chałupie i moją starą matkę pielęgnowali, jeśli mię jaki przypadek w drodze zatrzyma.

— To przecież nie potrwa długo?

— Dwa, trzy tygodnie najdalej — ale jeśli coś nadzwyczajnego, bo któż może wiedzieć...

— Dobrze, daję wam słowo szlacheckie.

— Że zostaniecie, dopóki nie wrócę, albo, czego Boże uchowaj, gdyby tymczasem matka moja stara zamknęła powieki, to ją uczciwie pochowacie i wtedy oddawszy dom Maruchnie, możecie iść do swoich.

— Dobrze, dobrze, choć to się tak nie gada...

— Ale nie prędzej?

— Wszystko dobrze, tylko teraz nogi za pas, Szymonie, i drzyj, żeby aż paznogcie skrzypiały! — zakonkludował[1]) Popiel. — W kapocie pismo i papiery.

To rzekłszy, zamknął oczy, bo go jakaś niemoc owładnęła, a bednarz wyjął papiery, pocałował rękę śpiącej staruszki, pokropił się święconą wodą i zanuciwszy godzinki do Matki Boskiej, wysunął się z domu.

Minął miesiąc, szlachcic wyzdrowiał na rumianku i pirogach. Co dzień wychodził na brzeg parowu, ale bednarza jak nie było, tak nie było. Zalatywały go różne wieści o konfederatach, szlachcic gryzł wargi i wąsy, a bednarz jak zginął, tak zginął. Do tego wlazł mu na kark Mateusz Piróg, który całe miasteczko na szlachcica podburzył. Przysiężni[2]) napadali go i przetrząsali dom od progu aż do krokwi, a szlachcic odżerał się jak mógł, wydając się za czeladnika bednarskiego, który u Radysza na służbę stanął. O Radyszu były wieści, że z beczkami gdzieś daleko pojechał. Ale to nie uspokajało Mateusza Piroga, który głośno wygadywał, że Radysz herszt rozbójników, a jego czeladnik przynajmniej jest urwipołciem.

Kilka miesięcy minęło wśród tych kłopotów. Szlachcic popatrzył pewnego razu do beczki wody i ujrzał ze strachem, że posiwiał z kłopotów. Ale dało się słowo bednarzowi, matka jego żyła, nie można było domu opuszczać. Wreszcie potrzeba i grosza na życie. Szlachcic naładował wóz beczkami i faskami, które był znalazł w komorze, i wyjechał na targ do Jarosławia.

---

[1]) zakończył.

[2]) inaczej ławnik lub assesor, urzędnik gminny.

Na targu zamówiono kilka beczek na kapustę i kilka wiader do studni. Trzeba było wziąć z sobą czeladnika i zrobić zamówione beczki i wiadra.

I tak mijał jeden miesiąc po drugim. Szlachcic przypatrywał się czeladnikowi, jak strugał dęgi i obręcze zacinał. A bednarza jak nie było tak nie było, a staruszka zwiędniała jak śliwka w październiku, ale żyła. Mocno frasował się szlachcic, ale słowa dotrzymał.

Wreszcie w pół roku po odejściu bednarza, zaniemogła jeszcze więcej staruszka i położyła się na tapczanie. Szlachcic zmówił Ojcze nasz za myśl grzeszną, która do głowy mu przyszła i rzekł w duchu do siebie:

— Każdy człowiek umierać musi. Staruszka kłapnie lada dzień. Sprawię jej pogrzeb przyzwoity z wszystkimi cechami i odejdę stąd.

I codzień patrzał na tapczan szlachcic, codzień przepraszał Boga za myśl grzeszną, ale staruszka żyła, jakby o niej śmierć zapomniała.

Znowu minęło kilka miesięcy. Szlachcic strasznie posmutniał. Razu jednego nad wieczorem wyszedł do sadu i usłyszał puhacza przeraźliwie krzyczącego gdzieś w gruszy wypróchniałej. Szlachcic przeżegnał się krzyżem świętym, dreszcz zimny przeszedł mu przez plecy.

— No już teraz babulka kłapnie niezawodnie — pomyślał sobie — sowa nie nadarmo woła. Wszyscy ludzie umierać muszą.

Przyszedłszy do izby, obaczył staruszkę dziwnie niespokojną.

— Sowa darmo nie woła — rzekł do siebie z cicha — przed świtem jeszcze zadrze nogi biedna staruszka. Wszyscy ludzie umierać muszą...

Zapalił więc gromnicę, jak na prawego katolika przystoi, i zaczął po cichu czytać psalmy konających, zerkając od czasu do czasu na tapczan. Ale staruszka uspokoiła się i zasnęła i tak jakoś zdrowo wyglądała we śnie, że nieszczęśliwy Popiel z westchnieniem książkę zamknął i gromnicę zgasił.

I tak biegł dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. Szlachcic wypalił kilka gromnic, do wzgórza nad parowem wydeptał ścieżkę, wyglądając Radysza. Mateuszowi Pirogowi, który go zwał zawłoką, urwipołciem, złamał już trzy żebra i jedno wybił oko, a staruszka jak sobie żyła tak żyła, a bednarza jak nie było tak nie było!

I tak minęło lat kilka.

Razu jednego, w wigilią św. Szymona Judy, siedział szlachcic na progu i strugał dęgi. Wtem jakiś podróżny w błyszczącym mundurze pojawił się przed progiem. Szlachcic przetarł oczy i krzyknął:

— Mater Dei, Radysz!

— Czy żyje matka? — zapytał przybyły.

— Żyje — wybełkotał szlachcic.

— Ale nasza wspólna, a moja druga matka umiera!

— Co gadasz!

— Wszystko zabierają!

Nastąpiło długie milczenie. Bednarz i potomek królewski płakali, leżąc jeden drugiemu na piersi.

— No, opowiadaj... cóż?... ach! tyle lat... co to za mundur?... co ty bez jednej ręki? — zapytał szlachcic, gdy do izby już byli weszli, a syn z matką się przywitał.

— Powoli, powoli, mości Marcinie — odparł bednarz — bo mi się w głowie kręci. Z czasem to wam wszystko

opowiem. A teraz macie ot wasze papiery. To wszystko wasze — a ja znowu bednarzem.

Popiel rozwinął pęk papierów.

— Co, to nominacya na rotmistrza?... Chryste Boże! »Marcin Popiel, rotmistrz...« — czytał zdumiony szlachcic, a ręka drżała mu jak liść osiki.

— Tak jest, to wy jesteście, Marcinie...

— Mater Dei! — krzyknął szlachcic — toż ja mam żyć chlebem, co sobie drugi upiekł! Nie! pójdę do Warszawy, opowiem to wszystko królowi — on wam nada szlachectwo, boście na to zasłużyli. I jam na coś zasłużył, bom dotrzymał słowa... dyabelnie, pięć lat i sześć tygodni!

Na tem skończyła się dzisiaj ich rozmowa, bo staruszka chciała z synem się nacieszyć, obmacując jego mundur i lśniącą szablę. Nazajutrz całe miasteczko było w nadzwyczajnym ruchu. Mieszczanie gadali to i owo, a Mateusz Piróg wytoczył Radyszowi jakiś proces. Rozniosło się, że Radysz był konfederatem i odtąd nie nazywano go nigdy inaczej jak »konfederat«. Niektórzy nawet w tem widzieli coś szyderskiego — nie ich to wina, ale wina długich wieków...

Popiel odwiedził swoich, a gdy mu wszyscy tak znakomitej rangi winszowali, nie mógł znieść tego fałszu na sercu i wszystko co do joty opowiedział. A nawet, jak przyrzekł, poszedł piechotą do Warszawy, aby przed króla całą tę sprawę zanieść i bednarza unobilitować [1]).

Ale jakoś nie gładko poszły mu jego zamiary. Czekał od roku do roku na rezultat podróży swojej. Tymczasem odwiedzał Radysza, a Mateusz Piróg wi-

[1]) wynieść do stanu szlacheckiego.

dział z cmentarza, jak z nim strugał dęgi i nakładał obręcze.

W kikanaście lat umarła wreszcie matka bednarza, mając lat sto czternaście. Popiel i Radysz płakali idąc za trumną, a nazajutrz płakali obaj nad śmiercią drugiej, wspólnej matki. Od kwestarza z Jarosławia dowiedzieli się o złożeniu przez króla korony.

— Ej Szymonie — zawołał wśród łez Popiel — naszej ojczyzny niktby tak gładko nie był zagarnął, gdyby tacy ludzie jak ty rozumieli sprawę naszą i byli w naszych szeregach!

Po tem widzeniu się, postarzeli się znacznie obaj przyjaciele. Bednarz wkrótce umarł, a Piróg pił na jego stypie. Chałupa Radysza zapadła się, a pustkowie nazwali mieszczanie »konfederatówką«. Popiel żył jeszcze pięć lat. Na cztery lata przed śmiercią ożenił się i zostawił syna, któremu zamiast majątku zapisał w testamencie te słowa:

— »Pamiętaj, żeś Marcin Popiel, rodu królewskiego. Życie twoje i mienie należy do Rzeczypospolitej. Hasło Popielowe jest: Jezus, Marya, Józef — pal i wal! A gdy brat nieszlachcic chce koło ciebie stanąć, to mu się posuń i uściśnij jak brata. Tylko wszyscy razem, co jednym mówimy językiem, jesteśmy coś warci i czegoś możemy dokazać. A gdy się podzielimy, to nas zgniotą jak dziurawe orzechy. To miej w pamięci. Amen. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«.

Prawnuk Popiela czytuje dzisiaj często te słowa swego przodka. Jest on w ósmej klasie i siedzi z młodym Pirogiem na jednej ławie szkolnej.

(Nowele i opowiadania, Warszawa, T. Paprocki i Sp. 1884).

HENRYK SIENKIEWICZ.

Bądź błogosławiona.

(Legenda indyjska).

Raz, w jasną noc księżycową, mądry a wielki Kryszna[1]) zamyślił się głęboko i rzekł:

— Myślałem, że człowiek jest najpiękniejszym tworem na ziemi — i myliłem się. Oto widzę kwiat lotusu[2]), kołysany nocnym powiewem. O ileż on piękniejszy od wszystkich żyjących istot: listki jego otwarły się właśnie na srebrne światło księżyca — i oczu nie mogę od niego oderwać...

— Tak, niema między ludźmi nic podobnego — powtórzył z westchnieniem.

Ale po chwili pomyślał:

---

[1]) jedna z przemian indyjskiego bóstwa Wisznu, czczonego obok Brahmy i Siwy, z którymi tworzy trójcę najwyższych bogów. Jemu jest poświęcony lotus.

[2]) roślina wodna, rosnąca w Gangesie i innych rzekach (Nelumbium speciosum) symbol ziemi. Kwiat jej był uważany za święty.

— Dlaczego bym ja, bóg, nie miał potęgą słowa stworzyć istoty, którаby była tem między ludźmi, czem lotus między kwiatami? Niech więc tak będzie na radość ludziom i ziemi. Lotusie, zmień się w żyjącą dziewicę i stań przede mną.

Zadrżała wnet leciuchno fala, jakby trącona skrzydłem jaskółki, noc rozjaśniła się, księżyc zabłysnął mocniej na niebie, rozśpiewały się głośniej nocne drozdy, a potem nagle umilkły. I czar się spełnił: przed Kryszną stanął lotus w ludzkiej postaci.

Sam bożek zdumiał się.

— Byłaś kwiatem jeziora — rzekł — bądź odtąd kwiatem myśli mojej i przemów.

A dziewczyna poczęła szeptać tak cicho, jak szemrzą białe płatki lotusu, całowane letnim powiewem.

— Panie! zmieniłeś mnie w żywą istotę; gdzież mi teraz zamieszkać każesz? Pamiętaj, panie, że gdy byłam kwiatem, drżałam i tuliłam listki za każdem tchnieniem wiatru. Bałam się, panie, nawalnych dżdżów i burzy, bałam się gromów i błyskawic, bałam się nawet palących promieni słońca. Tyś mi kazał być wcieleniem lotusu, więc zachowałam dawną naturę i teraz boję się, panie, ziemi i wszystkiego, co się na niej znajduje... Gdzież mi zamieszkać każesz?

Kryszna podniósł mądre oczy ku gwiazdom, przez chwilę myślał, poczem spytał:

— Chcesz żyć na szczytach gór?

— Tam śniegi i zimno, panie: boję się.

— A więc... Zbuduję ci pałac z kryształu na dnie jeziora.

— W głębinach wód przesuwają się węże i inne potwory: boję się, panie!

— Chcesz stepów bez końca?

— O panie! wichry i burze tratują stepy, na kształt stad dzikich.

— Cóż z tobą uczynić, kwiecie wcielony?... Ha! w pieczarach Ellory [1]) żyją święci pustelnicy... Czy chcesz zamieszkać zdala od świata w pieczarze?

— Ciemno tam, panie: boję się.

Kryszna usiadł na kamieniu i wsparł głowę na ręku. Dziewczyna stała przed nim drżąca i przestraszona.

Tymczasem zorza poczęła rozświecać niebo na wschodzie. Ozłociła się toń jeziora, palmy i bambusy. Chórem ozwały się różowe czaple, błękitne żórawie i białe łabędzie na wodach, pawie i bengali [2]) w lasach, a do wtóru im rozległy się dźwięki strun, nawiązanych na muszlę perłową, i słowa ludzkiej pieśni.

Kryszna obudził się z zadumy i rzekł:

— To poeta Walmiki wita wschód słońca.

Po chwili rozsunęły się firanki purpurowych kwiatów, pokrywających lijany [3]), i nad jeziorem ukazał się Walmiki.

Ujrzawszy wcielony lotus przestał grać. Perłowa muszla wysunęła mu się zwolna z dłoni na ziemię, ręce opadły wzdłuż bioder i stanął niemy, jak gdyby wielki Kryszna zmienił go w drzewo nadwodne. — A bożek

---

[1]) miasto w Indyach wschodnich, sławne z trzydziestu świątyń, umieszczonych w rozległych pieczarach podziemnych.

[2]) ptak z rodzaju zięby (Pytelia amandava), prześlicznie upierzony, żyje w strefie podzwrotnikowej.

[3]) rośliny pnące się, podobne do powoju, ale dochodzące nieraz grubości ręki. Gęste ich sploty czynią z lasów podzwrotnikowych nieprzebitą gęstwinę.

ucieszył się z tego podziwu nad własnem dziełem i rzekł:

— Zbudź się, Walmiki, i przemów.

I Walmiki przemówił:

— Kocham!...

To jedno słowo tylko pamiętał i to jedno mógł wypowiedzieć.

Twarz Kryszny rozpromieniła się nagle.

— Cudna dziewczyno — znalazłem godne ciebie miejsce na świecie: zamieszkaj w sercu poety.

Walmiki zaś powtórzył po raz drugi:

— ... Kocham!...

Wola potężnego Kryszny, wola bóstwa poczęła popychać dziewczynę ku sercu poety. Bożek uczynił też serce Walmiki przejrzystem jak kryształ.

Pogodna jak dzień letni, spokojna jak fala Gangesu, wstępowała dziewczyna w przeznaczony dla siebie przybytek. Lecz nagle, gdy głębiej spojrzała w serce Walmiki, twarz jej pobladła i strach owionął ją niby wiatr zimny. A Kryszna zdziwił się.

— Kwiecie wcielony — spytał — czy i serca poety się boisz?

— Panie — odpowiedziała dziewczyna — gdzież mi to zamieszkać kazałeś? Otom w tem jednem sercu ujrzała i śnieżne szczyty gór, i głębiny wód, pełne dziwnych istot, i step z wichrami i burzą, i ciemne jaskinie Ellory; więc boję się znowu, o panie!

Lecz dobry a mądry Kryszna rzekł:

— Uspokój się, kwiecie wcielony. Jeśli w sercu Walmiki leżą samotne śniegi, bądź ciepłem tchnieniem wiosny, które je stopi; jeśli jest głębia wodna, bądź

perłą w tej głębi; jeśli jest pustka stepu, posiej w niej kwiaty szczęścia; jeśli są ciemne pieczary Ellory, bądź w tych ciemnościach słońca promieniem...

A Walmiki, który przez ten czas odzyskał mowę, dodał:

— I bądź błogosławiona!

(*Pisma, tom XX, Warszawa, Gebethner i Wolff 1894*).

ALEKSANDER GŁOWACKI.

(BOLESŁAW PRUS).

W GÓRACH.

Panie drogi -- mówił do mnie jeden z przyjaciół, wielki dziwak — panie drogi, homeopaci mają znakomitą zasadę: »podobne leczy się podobnem«. Przecież ospę nawet allopaci[1]) leczą ospą, a Pasteur[2]) wściekliznę chce leczyć wścieklizną. Ale na co te przykłady: opowiem panu fakt, na który patrzyłem, gdzie człowiek z urojonych strachów uleczył się zapomocą istotnego niebezpieczeństwa.

Po tym wstępie mój przyjaciel zapalił cygaro i ciągnął dalej:

— Pierwszy raz widziałem Alpy przed dwudziestu laty, przyjechawszy do Thusis[3]). W kilka dni po przy-

---

[1]) homeopatya i allopatya są to dwie sobie przeciwne metody leczenia.

[2]) sławny uczony francuski, wynalazca sposobu leczenia wścieklizny.

[3]) miasteczko w kantonie Gryzońskim (Graubündten) w Szwajcaryi, nad górnym Renem.

byciu do tego miasteczka, wybrałem się z pewnem towarzystwem na mały spacer. Przy tej jednak okazyi najadłem się tyle strachu, że, zniechęcony, natychmiast opuściłem Thusis, a następnie przez kilka lat nie mogłem patrzeć na góry.

Na ową wycieczkę poszliśmy w sześć osób: było nas dwóch Polaków, Niemiec, Anglik i dwie damy Francuzki, wszystko lokatorowie tegosamego hotelu. Nie wzięliśmy przewodnika, ponieważ Anglik znał miejscowość, a szczyt, na który mieliśmy się drapać, zdawał się tak widocznym i łatwym, jak to krzesło na środku pokoju. Widziałem wprawdzie przez lunetę na stoku góry jakieś zmarszczki poprzeczne i podłużne; ale ponieważ nie były większe od zagonów, nie myślałem o nich. Dziwiłem się nawet, że na taki spacerek wychodzimy z hotelu o dziewiątej rano; nie chcąc jednak przyznawać się, że nie mam pojęcia o górach, nie robiłem żadnych uwag, a w podróży zachowywałem się jak turysta, który przedeptał Himalaje. To zjednało mi ogólny szacunek, a wyjątkową sympatyę u Niemca.

Naturalnie, odpłacałem mu wzajemnością; był to bowiem niesłychanie miły człowiek, który miał niestety! jedną wadę: chorował na zawroty głowy. Drogę mieliśmy wesołą; wszyscy, nie wyłączając Anglika, zbytkowali jak dzieci; tylko ja byłem poważny, a Niemiec na każdej spadzistości oglądał się za siebie i cytował wyjątki z Wergiliusza. Mówił, że jest to najlepszy sposób odwrócenia uwagi od tego, na co patrzeć nie chcemy.

— Więc i tutaj kręci się panu w głowie? — spytałem.

— Tak — odparł szybko — ale... nie mówmy o tem, bo nie zrobię ani kroku naprzód.

Umilkłem, a mój Niemiec coraz głośniej deklamował Wergiliusza i coraz częściej oglądał się za siebie. Raz tylko schwycił mnie za rękę i szepnął do ucha:

— Pański spokój jest dla mnie źródłem odwagi. Gdyby pana tu nie było, ustałbym w drodze albo... karkbym skręcił...

Zimny pot wystąpił mi na czoło, ponieważ stan mojej duszy był zupełnym kontrastem tego, co biedny towarzysz wyobrażał sobie o mnie. Przedewszystkiem mocno mnie to niepokoiło, że pomimo dwugodzinnej podróży góra, na którą mieliśmy wejść, wcale się do nas nie zbliżyła: zdawało mi się, że ciągle stoi od nas mniej więcej o wiorstę[1]) drogi. Ale moje zakłopotanie dosięgło zenitu, gdy nagle góra, dokąd zbliżaliśmy się, znikła, a zamiast niej, zobaczyłem ogromne masy ziemi i skał, które zaczynały się gdzieś głęboko w dole, a kończyły — chyba pod gwiazdami.

Ściana, na którą wdrapaliśmy się, miała formę olbrzymich schodów, ze stopniami po kilkaset kroków wysokimi. Stanąwszy pod takim stopniem, myślałem, że to już szczyt; lecz po kwadransie wchodzenia przekonywałem się, że zamiast na szczycie, znajdujemy się na nowym stopniu, albo na małem poletku[2]), za którem stoi jeszcze jeden stopień. I tak bez końca.

Droga tymczasem stawała się coraz dzikszą. Znikły lasy, trawa, kosodrzewina, nawet ziemia — gruntowa. Stąpaliśmy po warstwie kamieni, coraz większych i coraz łatwiej usuwających się z pod nóg. Coraz gęst-

---

[1]) miara odległości w Rossyi, wynosząca nieco więcej, niż kilometr.

[2]) pólko, małe pole.

szą gromadą otaczały nas olbrzymie czuby gór, przystrojonych kitami obłoków, albo wąwozy dyszące mgłą niebieskawą.

Niekiedy fałdy góry wygładzały się; niknęły jej wielkie stopnie i terasy, a zamiast nich widziałem pochyłą ścianę, która wymykała mi się z pod nóg i biegła stromo aż do szafirowych lasów, drzemiących o wiorstę głęboko. Raz gdym na chwilę zapomniał, że jestem na górze, przywidziało mi się, że stoję na równinie, która nagle uchyla mi się pod nogami; część jej podnosi się aż do nieba, a druga część spada gdzieś aż do wnętrza ziemi. Uczułem zawrót głowy i, aby nie stoczyć się, chwyciłem za ramiona idącego przede mną Niemca. On przyśpieszył kroku i znaleźliśmy się w miejscu mniej stromem.

— Dziękuję panu... — szepnął mocno ściskając mi rękę. — Już mi lepiej... Uratowałeś mi życie...

Osłupiałem ze zdumienia. A tymczasem idące przed nami damy poprawiały na sobie szale i sukienki, które ich zdaniem układały się nie dosyć estetycznie.

— Ogromny upał! — rzekła jedna.

— Co za niewygodna droga! — biadała jej towarzyszka.

Po kwadransie spokojniejszej drogi ściana, na którą wstępowaliśmy, skończyła się. Zobaczyłem, że ze wszystkich stron otaczają nas nagie lub śniegiem pokryte wierzchołki gór, że między nami i niemi niema nic, a raczej jest tylko powietrze. Nie wiem dlaczego, uczułem w tej chwili jakąś spokojną dumę i bezprzedmiotowy zachwyt.

— Jesteśmy na szczycie — rzekł Anglik i, skłoniwszy się damom, zapalił cygaro.

— Prześliczny widok! — zawołały obie panie.

Wydobyły z kieszeni lusterka i zaczęły poprawiać sobie nieco potargane włosy.

— Druga godzina! — odezwał się mój rodak po polsku. — Dyabli wzięli obiad, a może i kolacyę...

Niemiec tymczasem usiadł i pochyliwszy twarz do ziemi, począł deklamować Wergiliusza.

— Czy widzisz pan Thusis? — spytałem go — Wygląda jak kilka ziarnek grochu.

— Nic nie widzę i na nic nie patrzę — odparł. — Nadewszystko nie wiem, czy stąd zejdę!...

Anglik spostrzegł bladość na jego twarzy, pokręcił głową i podał mu flaszkę koniaku. Chory biedak wypił, trochę odpoczął i uspokoił się. Siedzieliśmy z kwadrans, gdy zerwał się wiatr dosyć chłodny. Właśnie spoglądałem w kierunku Thusis i zobaczyłem szczególne zjawisko. W głębokim wąwozie, który leżał u nóg naszych, błękitna mgła nabrała jaśniejszej barwy, potem zrobiła się niebieskawą, blado-niebieską, nareszcie zupełnie białą. A potem szybko zaczęła wypełniać wszystkie doliny, tak że zdawało się, iż otacza nas morze mleczne, po którem pływają szczyty gór. I nie tylko pływają, ale stopniowo zaczynają zanurzać się i tonąć. Widziałem wyraźnie jakiś ruch między górami i mgłą, ale przeraziłem się, gdym spostrzegł, że szczyt, na którym stoimy, poczyna spadać na dół...

Byłbym przysiągł, że spadamy na rozpostarty pod nami obłok, ku któremu zbliżamy się ogromnie prędko!

— Co to znaczy? — zapytała jedna z dam Anglika.

— Mgła podnosi się w górę — odparł nieco zasępiony. — Musimy schodzić — dodał.

— A więc to nie my spadamy, tylko mgła podnosi się ku nam!... — pomyślałem znacznie spokojniejszy.

Ale obłoki mają prędkie skrzydła. Jeszcze nie zdążyliśmy powstać z siedzenia, a już mgła otoczyła nas ze wszech stron i pomimo dnia, zrobiło się tak ciemno, że nie widzieliśmy nawet o parę kroków. Na rękach i twarzach poczuliśmy wilgoć, potem zaczął padać deszcz, potem deszcz ze śniegiem, a potem śnieg tak gęsty, jak u nas podczas zawiei.

Pomimo to szliśmy, trzymając się za ręce; droga bowiem była bezpieczna, a Anglik znał ją wybornie. Niekiedy pod nogami usuwały nam się ślizkie kamienie, a wówczas — zjeżdżaliśmy kilka łokci na dół wśród ogromnego śmiechu. Najgłośniej śmiał się Niemiec, który nabrał doskonałego humoru od chwili, kiedy mgła zasłoniła mu spadek góry i przepaści pod nią leżące.

Po jednem takiem poślizgnięciu się zjechaliśmy nie dwa albo trzy, ale ze trzydzieści łokci na dół. Już damy zaczęły krzyczeć: ach! ach!' kiedy pęd nasz zwolniał i uczuliśmy pod nogami twardą skałę. Niemiec bardzo zadowolony, powstał pierwszy i wyciągnąwszy kij, chciał iść naprzód.

Ale zatrzymał go Anglik.

— Za pozwoleniem — rzekł — muszę zoryentować się, gdzie jesteśmy.

Posunął się kilka kroków po omacku i wnet rozpłynął się we mgle.

— Ho! ho!...

Znowu wrócił, ale na jego twarzy dostrzegliśmy niepokój.

— Może przyda się panu busola? — spytał go mój rodak.

— Ależ naturalnie, pokaż pan! — odpowiedział Anglik, niecierpliwie chwytając w rękę małą busolę, którą mój rodak ozdabiał dewizkę zegarka. Anglik patrzył, kręcił busolą i głową, wreszcie klasnął językiem.

— Musimy zatrzymać się, dopóki mgła nie przejdzie — rzekł z uśmiechem do dam. A do nas szepnął:

— Zbłądziliśmy, jesteśmy zupełnie w innej stronie góry...

— A jak wysoko stoimy? — zapytał Niemiec.

— Może w połowie góry, zresztą... czy ja wiem?

— A może tu jest gdzie przepaść?... spytał znowu Niemiec.

— I za to nie ręczę — odparł Anglik. — W każdym razie brzegi tej skały są bardzo spadziste.

Damy siedziały zachmurzone.

— Szkoda, żeśmy nie wzięły maszynki do czekolady — odezwała się jedna z nich.

Było już po czwartej, kiedy dmuchnął silny wiatr z boku i na chwilę odsłonił horyzont.

Dreszcz przebiegł mi po skórze. Zobaczyłem, że siedzimy jakby na gzymsie, kilkanaście łokci szerokim. Za nami stała spadzista ściana góry, pokryta ślizkimi kamieniami, po której w tej chwili niepodobna było się wdrapywać, a przed nami — o wiorstę niżej — dolina...

O zejściu z gzymsu w stronę doliny nie mogło być mowy: w tem bowiem miejscu skalista ściana góry spadała prawie prostopadle.

— Kiedyż ruszymy, panowie? — odezwała się jedna z dam.

— Jak mgła przejdzie — odpowiedział Anglik,

— A jeżeli do nocy nie przejdzie?

— To będziemy tu nocowali...

— Pan żartuje?...

— Wcale nie — odparł z powagą. — Wpadliśmy w pułapkę i musimy być cierpliwymi.

— Więc dawajcie, panowie, jakieś hasła — wtrąciła druga. — Okolica nie jest przecież pustą, może kto usłyszy...

— Właśnie tak chcemy zrobić...

Mój ziomek miał rewolwer, z którego począł strzelać w stronę doliny. Ale huk był tak słaby, żem wątpił, żeby go kto usłyszał.

Tymczasem mgła gęstniała coraz bardziej. Damy owinęły się w szale i siedziały smutne, a Niemiec chodził tam i napowrót, z oznakami wielkiego rozdrażnienia.

Nagle wziął mnie za rękę i odprowadził na bok. Twarz jego miała dziki wyraz.

— Panie — rzekł zmienionym głosem — wiem, że siedzimy nad przepaścią, a choć jej nie widzę, na samą myśl o niej czuję tak straszny zawrót głowy, że... nie wytrzymam dłużej...

— Więc cóż pan myślisz zrobić?... — zapytałem zdumiony.

— Rzucę się! Wolę zginąć, niż tak cierpieć... Pana tylko ostrzegam o tem; inni niech nic nie wiedzą...

— Oszalałeś?...

— Tak, czuję, że oszalałem...

W tej chwili zbliżył się Anglik i, nim się opamiętałem, pochwycił szalonego. Chciał związać mu ręce, a do mnie rzekł półgłosem: Zarzuć mu chustkę na głowę...

Ale nieszczęśliwy wyrwał się, odepchnął nas obu i pobiegł wzdłuż gzymsu na lewo.

Po chwili usłyszeliśmy ciężki upadek i stłumiony grzechot toczących się kamieni...

— Co się tam dzieje? — zawołała jedna z dam, usłyszawszy hałas.

— Nic — odparł głucho Anglik. — Nasz towarzysz próbuje wejść na górę...

A do mnie szepnął:

— Ani słowa o tem, bo inaczej reszta pójdzie za nim. W takiej chwili szał jest zaraźliwą chorobą. Przykre położenie...

Wypił potężny łyk koniaku, poczęstował mnie, a potem... ładnym tenorem zaintonował aryę z jakiejś operetki! Zachmurzone Francuzki rozjaśniły twarze i zaczęły śpiewać razem z Anglikiem. Nawet mój rodak zapomniał o biedzie i zawtórował im fałszywym basem, nieustannie myląc się w melodyi.

Tylko ja milczałem, zdumiony i przerażony. Ten śpiew nad przepaścią, po tak strasznym wypadku, dał mi poznać nadludzką odwagę Anglika, ale i grozę położenia.

— Śpiewaj pan! — zawołała do mnie jedna z dam. — Jest to najlepszy sposób na nudy i zimno.

— Może także zwróci na nas uwagę górali — dodała druga.

I zaczęli we troje nową aryę, jeszcze weselszą. Tym razem mój ziomek darł się bez ceremonii, po polsku w te słowa: — »Żeby cię dyabli porwali«, Angliku, razem z twoją górą! Gdybym nie bał się Szwajcarów, zjadłbym cię zamiast cielęciny na obiad!« — Anglik bardzo uprzejmie zwracał do niego twarz pobladłą i wywijał takt ręką.

Wtem... usłyszeliśmy jakiś głos z dołu. Anglik zerwał się na równe nogi i pobiegł w tę stronę gzymsu, z której rzucił się Niemiec.

— Hop! hop! — wołano z dołu.

— Hop! hop! — odpowiedzieliśmy chórem. Obie damy pocałowały się z radości.

— Nie zabiłem się — wołał głos. — Schodźcie państwo tędy na dół!... Pyszna droga!...

Ze zdumieniem poznaliśmy głos naszego Niemca.

— Z tego gzymsu możecie panowie zeskoczyć, jest zaledwie kilka łokci wysoko... Ale damy trzeba znieść na ramionach — krzyczał Niemiec.

— Chwała Bogu — zawołał mój ziomek — przynajmniej zjem dziś kolacyę!...

I skoczył prosto w mgłę.

Usłyszeliśmy znowu grzechot kamieni i biadający głos ziomka:

— A niech go piorun trzaśnie z taką drogą!... Pewniem nogę wywichnął...

Poczem usłyszeliśmy w dole rozmowę. Widocznie już spotkał się z Niemcem.

Z kolei zeszliśmy wszyscy, pomimo protestu pań, które w żaden sposób nie chciały stawać na ramionach Anglika. Wkońcu jednak rozmyśliły się; skała bowiem w tem miejscu tworzyła rodzaj progu, wysokiego na trzy do czterech łokci, skąd trzeba było albo skakać albo schodzić przy pomocy osoby stojącej na dole.

Opuściwszy fatalny gzyms, znaleźliśmy się na spadzistym stoku, od góry do dołu zasypanym kamieniami. To też nie szliśmy, ale staczaliśmy się z ogromną szybkością i hałasem, wziąwszy się we czworo za ręce: panie w środku, a my z Anglikiem na skrzydłach. Poniżej

nas, trochę z boku, ujrzeliśmy we mgle jadące dwa cienie. Był to mój ziomek i niedoszły samobójca, Niemiec.

Pomimo wielkiej szybkości, nieomal przez kilka minut toczyliśmy się po stromym spadku góry. Im jednak spadaliśmy niżej, tem bardziej rzedniała mgła; nareszcie w połowie spadku ujrzeliśmy dolinę, a na niej kilka pasterskich szaletów [1].

Gdy w kwadrans potem zeszliśmy się wszyscy na łące, Anglik, wziąwszy Niemca pod rękę, rzekł do pań: — Czy panie wiedzą, że przed godziną ten człowiek chciał się zabić?

Samobójca, zawstydzony, odszedł na bok, a Francuzki, widząc powagę, z jaką Anglik mówił, zaczęły się śmiać. Nawet mój ziomek uważał to za doskonały koncept. Ale gdyśmy opowiedzieli wypadek, jedna z dam rozpłakała się, a druga dostała spazmów.

Istotnie chwilowemu szaleństwu naszego towarzysza zawdzięczaliśmy życie. Gzyms bowiem wisiał nad przepaścią, a tylko w tem miejscu, gdzie skoczył Niemiec, można było zejść w dolinę bez narażenia się na śmierć.

Reszta jego przygody była dosyć prostą.

Rzuciwszy się ze skały, trafił na warstwę kamyków, a chcąc prędzej skończyć ze swoim zawrotem głowy, biegł przed siebie na oślep. Po kilku minutach wyminął strefę mgły i zobaczył drogę bezpieczną. Wtedy, ochłonąwszy ze wzruszenia, z niemałym trudem wdrapał się znowu na górę, aby nas z niej sprowadzić.

---

[1]) z franc. = chatka, buda sklecona na prędce, szałas.

— No, i co pan powiesz — zakończył mój przyjaciel — że od tego wypadku Niemiec najzupełniej pozbył się zawrotu głowy... Został nawet członkiem klubu alpejskiego, a dziś jego nazwisko spotykam na liście turystów, którzy wchodzą na najwyższe szczyty...

Podobne leczyć podobnem!!...

(Szkice i obrazki, Warszawa, Spółka nakładowa, 1885, I tom).

MARYA KONOPNICKA.

WOJCIECH ZAPAŁA.

Kiedym poznał Wojciecha Zapałę, był on już dobrze posunięty w lata, wyschły jak trzaska, pożółkły, jako liść jesienny, a taką przez łeb miał szramę, że choć czwórką po niej zawracaj.

Prosto się jednak trzymał jeszcze stary, a jego szczotkowate, w górę sterczące wąsy, dodawały mu marsowatej miny.

Równego z nim wieku zdawała się być i kurta jego zielona, zarywająca na mundur strzelecki, mocno już spłowiała, ale twarda widać do zgryzienia, jako i jej pan.

Mieszkał Zapała pod lasem, w chatynce nędznej, na piaski rzuconej, z dachem roztrzęsionym, zczerniałym, czesanym przez wszystkie cztery wiatry, hulające po nim zawieruchą jesienną albo zimową zamiecią — z kalenicą[1]) zaklęsłą, z bokiem jednym z węgła ruszonym, drugim w ziemię idącym — z drzwiami

[1]) pokrycie na szczycie dachu słomianego, z gliny lub desek.

licho wie jak trzymającemi się jeszcze odźwierku — ot, w pustce ciężkiej i tyle.

Prócz wróbli pod strzechą, tulił przy sobie Zapała w chacie owej drobnego chłopczynę, sierotę, co go niegdyś wiosną zgubiły bociany we wsi, lecące na łąki, na zielone. Poterało się mizeractwo, to tu, to tam popychane, szturchane, nie wiedzące, kędy się dziać, a prócz sińców na grzbiecie mające tylko jedną koszulinę czarną, jako święta ziemia.

Płaczącego z głodu i chłodu, przydybał kiedyś chłopca stary pod lasem, popatrzył, splunął, wąsy najeżył, potem go na ręce wziął, kożuchem okrył, do chaty zaniósł, okrajcem chleba utulił — i na ławie, kędy sam legiwał — uśpił. Odtąd się już nie rozłączali. Jako przy pniu dębowym odrostek wiosenny, tak Antek tkwił przy Wojciechu.

I dobrze im było razem; tylko w miarę, jak chłopak podrastał i łyżką kartofli najeść się już nie mógł — stary pasa przyciągał, aby im obu wystarczyło.

Wiosennym, wczesnym porankiem już słychać było głos starego Zapały: Dalej, chłopcze, marsz! A coś ty baba, żebyś nie wiedział, jak żołnierz chodzić powinien? Prawa noga naprzód!... Nie ta... a czy skaranie boskie... toć że ta, druga. Uszy do góry! brzuch w siebie! a! że też ty chłopaku nijakiego rychtunku nie masz!...

A »żołnierz« w koszulinie tymczasem, drepcąc obok starego, wystawiał nogi bose, brudne, cienkie jak badyle — i podnosił konopiastą głowinę wysoko, sądząc słusznie, że i uszy z nią pójdą do góry; z brzuchem tylko jakoś nigdy do ładu dojść nie mógł. Odęty,

wielki, sterczał on uparcie z pod chudych żeber i tuż pod piersiami z za koszuliny wyglądał.

Czas jakiś maszerowali w milczeniu. Strwożone żaby w desperackich skokach pierzchały z pod nóg Wojciecha, chroniąc się w bruzdy, a w kępy wilgotne, a w ciszy porannej, dzwoniącej pieśnią skowronka, słychać było daleko, szeroko, ciężkie stąpanie starego wiarusa.

Aż naraz, precz dalej maszerując, odzywał się Wojciech:

— Uważasz, chłopcze, przed nami idzie dobosz i bębni, aż w niebie słychać! A dalej trębacze złociste na trąbach grają — a tu z boku nasz kapitan — ej, dziarska u niego mina! a za nami wali piechota, jak morze. A tu adjutanty polatują, jak ptaki, ino wiatr furczy, a jenerały aż kapią od złota; a tam dalej, na białym koniu, sam cesarz... Wiw limperer![1]) hurra!

I wyrzucał w górę czapkę swoją stary Zapała, i salutował kijem sękatym, i promieniał cały; a zasłuchany chłopczyna, chcąc dojrzeć owego dobosza, owych trębaczy złocistych, adjutantów, jenerałów, a najbardziej onego cesarza — wytrzeszczał oczy, otwierał usta — i naturalnie takt gubił.

Stary maszerował jeszcze kilkanaście kroków, jaśniejący w sobie, odmieniony, piękny niemal, jak był przed trzydziestu laty; z oczami utkwionemi w przejrzystą różaność poranku, z rozwianym włosem, naprzód podaną piersią, na której spłowiała jego kurta nabierała też życia i barwy. Usta jego szeptały coś po cichu — zdawał się, jakby natchniony. Po chwili opa-

---

[1]) vive l' empereur, niech żyje cesarz!

miętywał się, gasł w sobie, kułakiem przecierał oczy, a spostrzegłszy, że Antek przyzostał, poczynał burczeć na niego.

— A czegożeś ty gębę rozdziawił, nie mający na co? Widzicie go, piecucha; a ruszajże się prędzej! Oj, żeby ty służył pod naszym wachmistrzem, dopiero by on ci pieprzu w uszy natarł! Dalej! prawa noga naprzód! Raz, dwa... a cóż ty na kółkach idziesz? A czy cię też...

Ale chłopak, raz takt zmyliwszy, szedł jak odurzony, przebierając nogami bez składu. To zdawało mu się, że nie ma ani lewej ani prawej nogi, to znowu, że ma ich za wiele jakoś — i ani rusz do ładu z niemi trafić nie umiał. Szerzej więc jeszcze otworzywszy usta, stawał zapatrzony w Zapałę, a wydęta jego brzuszyna wyglądała z otworu koszuli, zapomniawszy całkiem o wojennej karności.

Stary dąsał się, gderał przez chwilę — aż ustawiwszy dzieciaka »do frontu«, zączynał sam maszerować przed nim na pokaz. Nie był to już jednak ten bohaterski Zapała z przed chwili. Wielkie jego stopy podnosiły się teraz nad ziemią sztywno i martwo opadały, jakoby na drewnach sękatych wprawione; nadęta wierzchnia warga komicznie jeżyła się przystrzyżonymi wysoko wąsami, a spencer jego spłowiały zwisał na zaklęsłej piersi, którą chwytał kaszel suchy, głęboki. Wówczas zatrzymywał się stary, głowę opuszczał, dyszał chwilę, a wziąwszy chłopca za rękę, szedł z nim w milczeniu, włócząc zmęczonemi nogami.

Dzieciak generałów owych złocistych, dobosza i trębaczy zapomnieć nie mógł.

Drepcąc obok Zapały, myślał, przemyśliwał, gdzieby ich dziaduś mógł widzieć? A przed nimi, jak okiem zajrzeć, rozciągały się pola ozime, mazowieckie pola, zachodzące runią zieloną, po której poranny tuman bił w słońcu pyłem złotym, jakoby się mietlice[1]) kurzyły. Od lasu tylko błękitność jakaś przejrzysta siała się po ziemi, jakoby kto strugę modrą w powietrzu rozdmuchał przez przetaki srebrne.

Chłopak wytrzeszczał oczy coraz szerzej, nadążając krokom starego. Juści nie gdzie, jeno w tym złocistym tumanie muszą być generały owe i cesarz. Patrzał, patrzał, otworzywszy gębę szeroko, gdy jednak nic dojrzeć nie mógł, pociągnął za rękaw starego i odezwał się głosem cichym: Dziadusiu! Ale pogrążony w sobie Wojciech nie słyszał chłopięcia.

— Dziadusiu! — przemówił wtedy malec głośniej — ja tam tego cesarza nie widział ani trąb nijakich.

Uśmiechnął się stary.

— A co ty myślisz, pędraku, że lada komu będą trąby grały? Oj nasłuchał ich ja się, nasłuchał! To mi potem przez dziesięć lat z okładem w uszach dzwoniło, że anim ludzkiego gadania ani wiatru w polu nie słyszał, jeno to ich granie. Hej! nie słyszałem nawet, jak starość przyszła i bieda! Ludziska głupi powiadają: głuchy Zapała. Oj, nie, nie głuchyć, nie głuchy, jeno słyszący takie rzeczy, o jakich wam się, Mazury, nie śniło! Gdzie człowiek nie był, czego nie zaznał! Szedł pan na wojnę — szedł i ja. — Wojciechu — powiada — nie żal ci chaty? — Jużci żal, panie — powiadam.

---

[1]) roślina, rodzaj kąkolu, rośnie w pszenicy, z kształtu łodyżek podobna do miotełki.

To wracaj zdrów — powiada: ja stoję przy Napolijonie. — Ha! to i ja stoję. — A pan na to: daj rękę, bracie; nie wrócę do domu, powiada, aż z Francuzami. — I nie wrócił. To był pan!

I spuszczał stary głowę i szedł zadumany, wzdychający, aż po chwili prostował się i mówił dalej:

— Albo co! Raz pamiętam, wali nasza wiara do szturmu. Gorącyż to był dzień! Pewno go tam Bóg Najwyższy czerwono w kalendarzu zapisać raczył! — Trąby grają, jakby na skończenie świata, bęben grzmi, że człowiek własnego strachu dosłyszeć nie może; gdzie spojrzysz, las nie las — sterczą bagneciska, że aż w oczy kole. — My nic. Przed frontem przeleciał adjutant, błysnął szpadą, niby jasną świecą. A my wiara jak hukniem: Wiw limperer! — tak ci tu zara, one hiszpaniska, jak nie puszczą swoich fortów w taniec! Boże miłosierny! żeby się nasza ziemia trzy razy zapadła, toby takiego huku nie było. Oficery krzyczą: marsz! marsz! Idziesz, jakby ci kto za piętami gorącą smołę lał: nie wiada[1]) jeszcze, czyś z głową, czy już bez głowy. Same nogi niosą cię naprzód: prawa, lewa, prawa lewa, marsz! A tu znów jak nie gwizdnie! Chryste Panie! Czapkę z głowy by zdmuchnęło, żeby niżej poszło. My nic.

Trzeba było widzieć starego Zapałę, z jakim ogniem, z jaką werwą mówił te dwa słowa: My nic!

Była to cała epopeja tej mazurskiej duszy.

— Dziadusiu, przerwał nagle Antek, oglądając się niespokojnie dokoła — a płota to tam nie było, żeby się skryć za niego, a potem w nogi do wsi?

---

[1]) nie wiadomo (ludowe).

— Płota? — powtórzył Zapała z wzgardliwym uśmiechem — oj ty chłopska maniero! A honor, a ambicya? a co powie cesarz, abo i kapitan?

Dałby ja ci płot na wojnie, albo i uciekanie!

Nasz kapitan powiadał, co jak to wojna przyszła, to wszyscy królowie i wszyscy panowie posiedli, pozakładali ręce i patrzyli, jak się Polak za Francuza bije. Ot, pięknieby to było, żeby potem gadali, cośma tchórze. Nie daj, Boże, takiego doczekania!

— A na cóż się Francuz sam nie bił? — pytał dalej Antek.

— Co się miał sam bić? — w przyjacielstwie wszystko po równości; my im, oni nam. A to juści i dla człowieka jest z honorem, że go tam ludzie widzą we świecie i znają i powiadają o nim; żeby ci kulka nie policzyła zębów na wylot: to już twoja rzecz!

— A cesarz? — pytał chłopczyna głosem z niepokoju stłumionym — kto pilnował cesarza?

— Cesarza? oj dziecko ty moje! Pilnował ci go sam Pan Bóg Stwórca i ta jasność, co od niego biła po świecie, i te orły, co nad nim latały na sztandarach naszych — i ten dech gorący, co szedł ku niemu z owych piersi ludzkich, gotowych murem stanąć, żeby jeno skinął! Nie broniły go zamki ani pałace; w obozie jadł, w obozie spał. Ktoby powiedział: człowiek, jak i drugi. Ano kulka kulce świstała lecący, że to Napolijon Bonapart — i żadna tknąć go nie śmiała.

Umilkł stary wiarus, dźwiękiem własnego uniesiony głosu, a źrenice jego cicho gorzały, zapatrzone w dalekość siną.

Antek dreptał obok niego, coraz szybcej przebierając bosemi nogami. Postać bohatera, tworzona gorąco

przez starego Zapałę, widomie niemal przechodziła z duszy jego w duszę dzieciaka. Chłopiec czuł się zaniepokojony, wzruszony; moc go jakaś brała za czuprynę konopiastą, więc podnosił głowę do góry, jak ptak do słońca — i coraz silniej ściskał rękaw starego Wojciecha. Miał też skrytą nadzieję, że tam daleko, gdzie dziaduś spostrzegał postać swojego cesarza — i on też może przecie, otworzywszy dobrze gębę — cośkolwiek obaczy. Nie mógł jednak zobaczyć nic i to go srodze trapiło.

Spojrzał staremu raz w oczy, spojrzał drugi raz, potem go za rękaw pociągnął i szepnął: Dziadusiu!

Ale Zapała utonął myślą w takiej dalekiej przeszłości, że głos dziecka dobić się tam nie zdołał. Ognie mu jeno chodziły po zoranej twarzy — zwiesił głowę i w milczeniu wracał pod las, do chaty.

Nocy tej Antek spać nie mógł.

Po ławie się ciskał, rękami rozrzucał, majaczył; a kiedy go Wojciech świtaniem obudził, pierwszą myślą malca był — cesarz.

Skąd bo się mógł wziąć ów cesarz na białym koniu, co go dziaduś wczoraj w polu widzieli? Białego konia w całej wsi nie było; nie było go i we dworskiej stajni. Jak też mógł wyglądać koń taki? A cesarz? kulki nad nim latały śpiewając, broniła go zorza złota, idąca przed nim na wojnę, a chorągwie furczały na wietrze, jako skrzydła ptasie, przypięte owemu koniowi białemu.

Taki sobie obraz utworzywszy w duszy, stanął chłopczyna przy zydlu u misy, wedle siedzącego Wojciecha; nie mógł jednak jeść wiele, jeno łyżkę z garści w garść przekładał, zadumany, zapatrzony.

Aż kiedy Zapała pośniadał i jął siekierę na brusiku ostrzyć, zbierając się na porębę[1]) do lasu, malec zaczął się kręcić, staremu drogę zachodzić to z tej to z owej strony, aż wreszcie za kolana go chwycił rączynami chudemi.

— A ty czego, chłopcze? — zapytał stary.

— Mój dziadusiu! moi złoci! niechby ja też tego cesarza choć raz obaczył! choć bez płot!

Zapała uśmiechnął się pod wąsem.

— Ot, czego się głupiemu zachciało! Cesarza! cesarza!... A cóż to, cesarz jest ekonom abo strach na wróble, żeby go lada kiep widział? Hej! hej! nawędrował ja się niemało po świecie i niemało biedy zgryzł, i skórę własną, jako wąż, odmienił, zanim go oczy moje ujrzały!

— A jakże go oczy wasze ujrzały, mój złoty dziadusiu? — pytał dalej Antek z najwyższem zajęciem, chwytając znowu za kolana starego.

Zapała siekierę poostrzoną na brusiku wsparł i westchnął głęboko.

— Oj! nie bez płot, nie bez płot, moja sieroto! Ujrzały go oczy moje w dymie harmatnim, w ogniu jarzącym, w trzaskawicy śmiertelnej, kiedy człowiek nie ma czasu wezwać Boga przy skonaniu.

Ujrzały go oczy moje w tumanie krwawym niesionego, jako sokół wiatrem zachodnim, nad pole kłosów dostałych. A nie były to kłosy, jeno ludzkie głowy; a co kula świśnie po nich — to jakby kosa przeszła, bruzda się ściele — i ściernisko trupie.

— A któż tak kosił, dziadusiu?

---

[1]) miejsce w lesie, gdzie drwa rąbią.

— Śmierć kosiła, chłopcze.

— A cesarz?

— Cesarz był za nami. A ktoby dotrwał bez niego? Na górze stał w kapocie swojej szarej, rękę do oczu przyłożył i rozkazy dawał — i patrzał, jak się Mazury prą na bateryę. Bóg widzi, nie my ją brali, ale to wejrzenie jego.

Zrazum ci ja nic nie wiedział, który to jest cesarz; bo wkoło sztab się kręcił, cały w złocie a w piórach, a w szelestach. Aż tu mi pan mój powiada: Wojtek — powiada — to Napolijon! — Spojrzę ja — jeno go maluj! — Porozlatały się one adjutanty złociste z rozkazaniem pańskiem — a on stał sam; a choć był drobnej urody, tak mi się wydał ogromny, jako świat.

Zadumał się stary i zamilkł; aż widząc po chwili, że chłopię u kolan mu stoi, a w oczy pogląda, pogładził szorstką dłonią jego rozsypane włosy i przemówił łaskawie:

— No, no: jeno ty mi się wyucz maszerunku, jak się patrzy, i wszelakiej komendy, to już ja ci Napolijona pokażę; niechno jarmark...

A podjąwszy siekierę, na ramię ją sobie założył i ruszył w las na porębę.

Straciłem potem jakoś z oczu Wojciecha Zapałę. Stary podobno chorzał, dyszał, w lesie na porębie nie stawał, z chaty nie wychodził; nawet na jarmark doroczny zajść nie mógł, tak mu się dawne, za młodu nieleczone cięcia odzywały po kościach, a stawach.

Małego zato Antka spotkałem kiedyś na drodze.

Było to jesienią. Dzieciak był równie chudy i nędzny, jak dawniej; w stroju tylko jego zaszły niektóre odmiany. Tasama wprawdzie koszulina zgrzebna okrywała mu grzbiet niebogi, ale na niej miał po wierzchu starą kamizelę Zapały. Kamizela była ogromna, za kolana chłopakowi idąca, na przodzie roztwarta, gwoli owej niepoprawnej brzuszynie, co to nie chciała iść »w siebie« i odejmowała Jantkowi »wszelaki rychtunek« rycerski.

Chłopak maszerował po ostrem ściernisku, trzymając na ramieniu sękaty kij Wojciecha i stawiając z góry cienkie swoje nożyny, z których jedna obuta była w stary babski trzewik, wywleczony ze śmiecia przez jakiegoś Kruczka, a druga tkwiła w wielkim drewnianym chodaku, opadającym ciężko za każdym krokiem malca. Tento chodak właśnie dawał takt marszowi i napełniał serce Antka uczuciem słusznej dumy. Istotnie »maszerunek« szedł świetnie. To chodak, to trzewik podnosiły się do wysokości nosa chłopięcia i opadały z łomotem, któremu wtórowała cieniutka komenda: raz, dwa! — i znowu: raz dwa! — Idąc tak, patrzał chłopczyna przed siebie daleko, daleko... jakoby miał tam cel upragniony, do którego trzeba mu było koniecznie maszerować po ściernisku, ot tak, jak stał: w koszuli i w kamizeli.

Przed jego wzrokiem przejrzystym, smętnym, wzrokiem chłopskich sierot, promieniała kędyś w dali postać jasna, ogromna, unosząca się »jak sokół na zachodnim wietrze« — postać cesarza.

Spotkanie to nie było ostatniem. Widywałem go później twardą już jesienią, w półkożuszku Wojciecha

i całkiem boso; nie odejmowało mu to jednak fantazyi, a komenda szła żwawo i składnie.

Nadeszła zima.

Wieczór był cichy, mroźny, miesięczny.

Świeże śniegi słały się puchem przez pola; w niebie głęboko paliły się gwiazdy sine; między niemi a ziemią leżały błękitne cienie i srebrne pary. Ze wsi dolatywały łomoty cierlic[1]) i psów szczekania, a pod lasem, hen precz — u Wojciechowej chaty słychać było stuk siekiery.

Idąc prosto na stuk ten, ujrzałem starego Zapałę, jak ociosywał dębczak, zdawna u progu leżący.

Pobladł, postarzał, a w miesięcznych blaskach wyglądał bardziej na widmo, niźli na człowieka.

Przy nim stał Antek, przebierając na śniegu bosemi nogami; jego cienki głosek dziecięcy mieszał się do stuku siekiery, szczebiotał coś, jak wróbel, pożerając oczyma robotę dziada.

Stary pracował z widocznym wysiłkiem. Raz po raz postawał, opuszczał siekierę, czoło z potu ocierał i dyszał ciężko. W ostatnich czasach rozniemógł się, osłabł, a choć się codzień jeszcze z tapczana zwłóczył, czuł już, jak mawiał, ordynans u proga. Pojednał się tedy z Bogiem i z ludźmi, odczyścił swoją zieloną kurtę, wysmarował grube buty i czekał.

Największą jego jednak troską był obiecany chłopakowi cesarz. Skąd on go weźmie? jak mu go pokaże? Do miasta nie doniosą go już stare nogi; rzecz zresztą niepewna, czy nawet na jarmarku coś podo-

---

[1]) narzędzie do oczyszczania włókien lnu lub konopi z paździerzy (także tarlica, terlica).

bnego by znalazł. A tu chłopiec codzień dopomina się spełnienia obietnicy. Zresztą zasłużył. Maszeruje dzielnie, niema co! Komendę myli co prawda miejscami, ależ to jeszcze małe, douczy się, niech jeno podrośnie. I coby to za radość była mieć pod ręką obrazek, abo co takiego, i módz powiedzieć sierocie: patrzaj chłopak, to Napolijon! Staremu od tej myśli serce rzucało się w piersi, jakby ją warem oblał. Myślał, myślał, nareszcie onego miesięcznego wieczora wziął siekierę, poostrzył i począł ociosywać ów dębczak, przed chatą leżący.

I cóż, że tego nigdy nie robił? Toć ma cesarza, jak żywego, w duszy. Na górce stoi, ręce u piersi skrzyżował i patrzy, i patrzy...

Antek, któremu także cesarz z myśli nie schodził, zagadywał starego o to, o owo, drepcąc bosaka po śniegu, nareszcie spytał: jakieby Napolijon miał buty?

Odprostował się Zapała, o odźwierek wsparł i rzekł:

— Czekajże, chłopcze... buty to miał ogromne z gwiazdami przy ostrogach. Jak konia niemi sparł, to cała armia ostrogę poczuła w piersiach. I szła, i szła, choć na koniec świata.

— Pewnikiem siedmiomilowe — zauważył Jantek dla siebie. Potem zaś dodał: — A kapotę?

— Kapotę? — powtórzył stary — żeby tak nie skłamać, to kapota nie była cesarska, lada ordynans miał lepszą. Tylko, że jak ją Napolijon na siebie wdział, a przed frontem stanął, to ci się zdawało, żeś słońce obaczył. Oj, ginęli też ludzie, ginęli dla tej kapoty, i nie żal było! Cesarz był mały, zwięzły, składny; a oczyma przez skórę cię brał, choć wejrzenie miał zawsze łaskawe. Pamiętam... Tu stary umilkł, nagle za piersi

się chwycił, począł kaszlać ciężko, aż uspokoiwszy się, po niejakiej chwili rzekł:

— Ale ty, chłopcze, do izby ruszaj, a do spania się zbieraj... Kurki [1]) zachodzą — dodał, poglądając ku gwiazdom sinym.

— A kiedyż ja, dziadusiu, cesarza obaczę? — powtarzał Antek zwykłą swoją piosenkę.

— Obaczysz, obaczysz... śpij jeno...

A kiedy chłopiec do chaty wszedł i drzwiami skrzypnął, stary ręce w górę wzniósł i mówił głośno: Panie Boże Wszechmogący! nie wołajże mnie ze świata, póki oto tej sierocie nie pokażę Napolijona cesarza, amen!

A gdy to mówił, taka była cisza, żeś słyszał w powietrzu lecące igiełki par mroźnych.

Zaraz potem dziad w garść splunął, siekiery się jął, a stukot jej aż do samego świtu obijał się o sosny po lesie.

W kilka dni potem, o wczesnem zaraniu, w pośrodku nędznej, czarnej chaty pod lasem, stał dębczak ów z pod progu, zmieniony w postać człowieczą.

Gruba to była robota, chropawa, nieskładna, głowa przyduża, nogi przykrótkie, kadłub przyciężki; kiedyś jednak stanął w progu izby, ot tak jak teraz przy ogarku łuczywa, płonącego w kominie, toś na pierwsze wejrzenie musiał krzyknąć, jak Zapała:

— Napolijon!

Charakterystyki posągu tego nie stanowiły rysy twarzy — to pewna; można je było owszem nazwać rysami tego lub owego człowieka, chociaż i one zary-

---

[1]) konstellacya gwiazd, zwana także Kwoczką lub Plejadami.

wały cośkolwiek z potężnej, znanej wszystkim głowy bohatera. Co do kapoty zato, kapelusza i rąk skrzyżowanych na piersi — niepodobna się było pomylić.

Przed dziełem swojem stał Wojciech Zapała jaśniejący, natchniony, ogromny w sobie, istny Fidyasz [1]) w chłopskiej siermiędze. U nóg jego leżały dłutka i pilniki, gorące jeszcze od rozmachu mazurskiej dłoni.

Oczy mu gorzały ogniem miłości i dumy, usta zaszły czerwienią, jako za młodych lat, pierś poruszała się oddechem pełnym, swobodnym, i stał tak w przemienieniu onem — prosty i piękny — trzymając w jednej ręce podjętą z ziemi siekierę, a drugą po wojskowemu salutując cesarza.

Po chwili uśmiechnął się i zwrócił głowę w róg izby. Tam na ubogim tapczanie spał Antek sierota. Rozrzucona na piersiach koszulina pokazywała chude jego żebra, a z pod kamizeli, którą był przykryty, wyglądały nogi cienkie, jak badyle. Równy, głęboki oddech poruszał jego pierś drobną, a obie ręce leżały nad głową, jako nad słomianą strzechą. Zapała patrzył na chłopca i oczy jego wilgotniały niby poranną rosą.

Tymczasem odniało na wschodzie.

Styczniowe słońce podniosło się nad Żelazową Wolę [2]), wielkie, gorejące, czerwone. Śniegi spłonęły w blaskach różanych i w złocie.

---

[1]) najznakomitszy rzeźbiarz grecki, Ateńczyk (* około roku 500, † 432 prz. Chr.). Jego dziełem był spiżowy posąg Ateny na Akropolis, drugi jej posąg w świątyni zwanej Partenon, posąg Zeusa w Olimpii etc.

[2]) wieś o sześć mil od Warszawy, miejsce urodzenia Fryd. Chopina ($^1/_3$ 1809).

I uderzyły promienie słońca w okienko izby czarnej i padły na postać bohatera łuną jarzącą. Światło zbudziło wróble i Antka.

Przewrócił się z boku na bok, zamruczał niewyraźnie: »...dwa, trzy« — potem westchnął i oczy otwarł. Otwarł — siadł na tapczanie i spojrzał po izbie. Zamknął je znowu i znów otworzył, przetarł kułakiem, spojrzał — i rozdziawił usta, jako miał szerokie. Chwilę trwał w takiem osłupieniu niemem; nagle zerwał się z tapczana: — Cesarz, dziadusiu, cesarz!...

Chwycił go stary, podniósł, do piersi przytulił, na wąsy spadły mu dwie łzy ciężkie i słone. Potem chłopca na ziemi postawił — podał piersi naprzód, jakby na bagnety szedł i huknął, aż w lesie odgrzmiało:

— Wiw Napolijon! Wiw limperer!

O wieku, co blaski swoje rzucasz w cienie i chłody dni naszych — i zapalasz ognie w biednej chłopskiej piersi i dajesz chwilę szczęścia czarnej chłopskiej chacie i uczysz pacholęta bose iść po ścierniskach życia — ku ideałowi — o wieku!...

(Nowelki konkursowe. Kurj. codzienny. Warszawa, 1884).

ALBERT WILCZYŃSKI.

ZĘBY WARSZAWIANKI.

(FACECYA).

Wieleby o tem przyszło pisać, jak i dlaczego po skończeniu studyów medycznych, obrałem sobie zawód dentysty.

Specyalność ta, z którą się dopiero wielkie miasta oswoiły, niedawno wystąpiła jako fach oddzielny, bez którego Bogiem a prawdą jeszczeby się do dziś dnia obejść można.

Może być, że dawniej mieliśmy lepsze zęby; sam pamiętam, jak dziadek mój w sześćdziesiątym roku życia gryzł bez wielkiego zamachu najtwardsze orzechy, a dawne imci panie do późnej starości, nie potrzebując kilka razy dziennie gryźć mężów o nowe suknie z ogonami, zachowały ten instrument gryzienia w należytej trwałości.

Jak przyszła już jaka bieda, czy na pana czy na chłopa, to prócz cudownych specyfików domowego wyrobu, ostatnią ucieczką w miasteczku był golibroda, a we wsi miejscowy kowal.

Zjawiał się ten ostatni jak kat jaki: z własnej fabryki wyrobionym lewarkiem[1]), który starannie w rękawie ukrywał, i kazawszy sobie pokazać bolącego delikwenta[2]) niby to macał, niby oglądał, aż naraz coś chrupnęło, szlachcic skoczył, krzyknął... i już po zębie.

Najczęściej przed zapłatą w gotówce następowała zapłata w naturze, ręką niecierpliwego pacyenta, czego sam byłem świadkiem w domu rodziców moich.

Nastały inne czasy; wody mineralne, bez których już dziś żaden tandeciarz obejść się nie może, psują za młodu emalię zębów, a przytem szlachta nasza tyle miała od lat czterdziestu twardych orzechów do gryzienia, że pod tym względem zbliżyła się do cywilizowanych sąsiadów.

Niemcy już rodzą się z zepsutymi zębami i zapewne ta okoliczność nie pozwala im należycie trawić zabranych zdobyczy, co i teraz ma miejsce z owymi miliardami francuskimi, tudzież z Alzacyą i Lotaryngią.

Niemcom zatem winni jesteśmy wynalazek dentystów, ma się rozumieć niepolitycznych, i z ich narodowości przeważnie rekrutowali się pierwsi tego rodzaju lekarze w Warszawie.

Mówiąc poprzednio o doraźnej wdzięczności pacyentów, jaką się i dzisiaj w eleganckich gabinetach dentystów spotyka, upewniam cię, czytelniku, że mi się dotąd nic podobnego nie zdarzyło, lecz zato miałem

---

[1]) klucz angielski do rwania zębów (Linde).

[2]) skazaniec, zwłaszcza skazany na karę śmierci. Tutaj o zębie: winowajca.

innego rodzaju wypadek w mojej praktyce, który z całą prawdą poprobuję ci opowiedzieć.

Przybyłem niedawno do Warszawy, ukończywszy studya w Heidelbergu; a że nie mogłem na razie dostać odpowiedniego mieszkania, poradzono mi wynająć tymczasowo parę pokoi z umeblowaniem, jakich podczas lata nie trudno dostać w Warszawie.

I stało się, jak chciałem; piękny salonik na pierwszem piętrze od frontu z sypialnią i wspólnym przedpokojem wynajęto mi przy jednej z pryncypalnych[1]) ulic Warszawy.

Gospodarz mój, człowiek jeszcze młody, lecz nadzwyczaj przyjemny i wykształcony, wyprawiwszy do wód za granicę swoją familię, zajmował resztę obszernego lokalu, do którego wejście mieliśmy, jak powiedziałem, przez wspólny przedpokój.

Wkrótce znajomość nasza doszła do pewnej wzajemnej zażyłości i zbliżenia tak, że służący jego Wojciech podjął się wprowadzać do mnie pacyentów, tudzież być pomocnym w czynnościach moich jako dentysty.

Byłem zadowolony z mieszkania i praktyki: nad podziw znalazłem prędko tych pacyentów, a więcej pacyentek, którym się podobała moja zręczność przy operacyach i skuteczność rad udzielanych. Blizkość znaczniejszych hoteli sprowadzała obywateli wiejskich, znajomość których sprowadzała dość liczną korespondencyę z prowincyą.

Pamiętam, jednego dnia wróciwszy z poobiedniej przechadzki, zastałem kartkę z nieczytelnym podpisem,

---

[1]) pierwszorzędny.

że autor jej pragnie się widzieć ze mną jutro o 10. godzinie. Proszę pana, dodaje Wojciech, był tu trzy razy i okropnie wymyślał, że pana nie może zastać. Był to był, myślę sobie, choć cierpiąc sam na ból zębów, wiem, ile każda minuta znaczy.

Jakoż nazajutrz o naznaczonej godzinie wchodzi do mego salonu ogromnej tuszy i wzrostu mężczyzna. Mógł mieć lat sześćdziesiąt. Twarz czerwona, opalona, spocona, siwe, krótko przystrzyżone włosy, brwi jak dwa krzaki jałowcu, a wąs to z pewnością lepszy niż u Sobieskiego. Dał parę kroków — posadzka trzeszczała, a kark pofałdowany jak szyja rasowego elektora, zmieniał te fałdy za każdym ruchem.

Spojrzałem i mrowie mię przeszło po skórze: jeżeli kiedy, to dziś nie wyjdę cało przy operacyi. Gdzież tu takiemu słoniowi wyrywać zęby... Nie, nie — albo zatruję ząb albo jego zachloroformuję.

— Apolinary Kaniowski z Pokrzywki — odezwał się szlachcic.

Ukłoniłem się grzecznie na tę rekomendacyę.

— Ja panie dobrodzieju trzy razy wczoraj byłem i nie mogłem zastać pana dobrodzieja.

— Bardzo mi przykro — rzekłem, przysuwając mu fotel — niech pan będzie łaskaw spocząć, upał wielki.

— Tak panie dobrodzieju, upał wielki — powtarza ocierając czerwoną kraciastą chustką lejący się pot z czoła — a ja panie dobrodzieju żąć nie mogę.

— Wielka szkoda — mówię, aby coś powiedzieć.

— I to z łaski pana dobrodzieja...

— Zapewne i ja winien, że mię pan nie zastał wczoraj, lecz po południu zwykle idę na przechadzkę.

— Łatwo spacerować panie dobrodzieju — mówi dalej z pewną irytacyą, wciąż jeszcze zasapany — ale gdyby panu przyszło doznać takiego zawodu...

— Jeszcze raz najmocniej przepraszam — rzeknę, trochę taką dziwną wymówką zafrasowany — lecz jestem na jego usługi... Może szanowny pan już odpoczął, proszę więc usiąść tu bliżej, na tym niższym fotelu.

— A to po co? — zapyta zdziwiony szlachcic — mnie i tu dobrze.

— Niech i tak będzie. Wojciechu! — zawołałem do służącego — dajno szklankę ciepłej wody!

— Panie dobrodzieju! co pan sobie kpisz czy co? Na taki upał każesz przynosić ciepłej wody!

— Wojciechu, daj zimnej...

Służący przyniósł szklankę wody na tacce, a szlachcic jednym haustem wypił do dna.

— Niezła, wcale niezła; daj drugą, poczciwcze.

Szczególnego rodzaju pacyent, pomyślałem, przychodzi z bolem zębów, a może bez skrzywienia pić zimną jak lód wodę. On tymczasem wypił drugą, odetchnął ciężko i milczy.

— Może szanowny pan wypocząwszy, zechcesz mi pokazać owe zęby?

— Dyabeł by je tam woził z sobą? — odrzekł, patrząc mi dziwnie w oczy.

— No, to gdzież są?

— Leżą pewnie po polu... już to panie dobrodzieju takie gałgany, a za takie drogie pieniądze.

— Darujesz pan, lecz nie przypominam sobie, żebym ja panu sprzedawał kiedy coś podobnego. Wszyscy dotąd chwalą moje wyroby...

— A bodaj oni się wprzód udławili, nim mogli pochwalić; panie dobrodzieju łaskawy, taż to wierutna fuszerka; mój kowal, prosty człowiek, jak tylko zobaczył, to się za głowę wziął... Ja to tam panie dobrodzieju człowiek starej daty, nigdy w te nowomodne głupstwa nie wierzyłem, ale syn mój, który był za granicą, koniecznie: kup tata, kup tata, no i kupiłem. No i cóż się pokazało?

— Przepraszam szanownego pana — przerywam zniecierpliwiony — choć nie mogę sobie przypomnieć, żebym kiedybądź sprzedawał panu moje preparata, jednak tego nikt jeszcze nie zarzucił, żebym dawał złe materyały. Kość prawdziwie...

— To, to, to... — zawoła uradowany szlachcic — masz pan racyę, prawda, że takie były jak z kości... prawda...

— A z czegóż pan chciałeś? — mówię już opryskliwie.

— Z czego? — krzyknie, przeszywając mnie ognistem spojrzeniem swych czarnych oczu. — Że stali, panie dobrodzieju, ze stali, a przynajmniej z kutego, dobrego żelaza.

— W imię Ojca i Syna..., chyba panu się majaczy. Jak żyję, jeszcze nie słyszałem, żeby kto zęby sztuczne robił ze stali... no... no.

— Otóż widzi pan dobrodziej, że jemu się majaczy,.. bo zęby tak się robią.

Spojrzałem uważniej na szlachcica, czy to nie waryat. — Widzę, patrzy na mnie, uśmiecha się szyderczo i kiwa głową — ze stali panie dobrodzieju, ze stali.

— Ależ ja pana zupełnie nie rozumiem...

— To najdogodniej nie rozumieć. — Panie, dość tych żartów i udawań, ja mu powiem otwarcie, skoro mię ciągniesz za język, że to jest oszustwo!

— Panie, proszę się miarkować i nie nadużywać mej gościnności. Jeżeli pan przychodzisz po dobrem śniadaniu, to ja nie mam obowiązku znosić jego impertynencyi. Proszę mię uwolnić...

— Ja się stąd ani ruszę — rzecze z flegmą i stanowczością, siadając napowrót na krześle — dopóki mi nie oddasz moich 250 rubli.

— Ja? ja brałem od pana jakie 250 rubli! — krzyknę zaperzony.

— Nie tak gorąco, nie tak gorąco. — Mam dowód pocztowy, tak, z Garwolina, mam, mam... I wydobywszy z bocznej kieszeni pęk pobrudzonych i zmiętych papierów, zaczął przekładać jeden po drugim, a jednocześnie szukać w drugiej kieszeni okularów.

— Co to jest? — myślałem sobie, skąd ten człowiek przyczepił się do mnie i czego chce... Ta pewność jego zastanowiła mię jednak. Coś tu musi być.

Szukał, szukał i nie mógł znaleźć.

— Ki dyabli — mówił do siebie — a przecie samem włożył... no, no, wszystko jedno... Ale co tam długo gadać i robić korowody; ja ją tu panu przywiozę zaraz... a o pieniądze pogadamy inaczej. Pytam pana ostatni raz: oddasz pan dwieście pięćdziesiąt rubli, czy nie?

— Nie oddam.

— A to panie ciekawa historya! A toż się już chyba świat do góry nogami przewraca. Wetknąć komu gałgaństwo, zedrzeć za to, głosić, trąbić po gazetach, a potem udać, że się nie wie. Koniec świata teraz.

Ja ci panie proces wytoczę i jak mi Pana Boga trzeba przy skonaniu, jeżeli ostatniej koszuli nie sprzedam, a waspana rozumu nauczę!

— Panie dobrodzieju — rzeknę, widząc, że tu musi zachodzić jakaś pomyłka osób — porozumiejmy się.

— Żadnych porozumień! — krzyknie zirytowany szlachcic — teraz już żadnych. Kto ze mną dobrze, to i ja z nim dobrze; ale jak mię kto panie dobrodzieju zadraśnie, to popamięta. Po wszystkich gazetach, jakie są na świecie, rozmażę, rozpaskudzę wasana...

Nie było co mówić, szlachcic był w pasyi, a rękę miał ogromną jak poduszka. Zaciąłem tylko zęby i trzymałem się z daleka od tego szaleńca.

Szlachcic wstał, zabierając się do wyjścia.

— Powiedz mi pan przynajmniej — rzeknę łagodnie, o ile mogłem — kogo mi tu pan masz przywieźć?

— Jakto kogo? — odpowiada, zatrzymując się przy drzwiach — warszawiankę[1]), tę waszą osławioną warszawiankę, która bodajby była nigdy dziennego światła nie widziała!

Parsknąłem śmiechem na całe gardło, a szlachcic trząsł się ze złości.

— Ależ, łaskawy panie! — wołam — to nie ja!

— Jakto nie pan?

— Teraz rozumiem pana, idzie o żniwiarkę?

— No, ma się rozumieć o żniwiarkę, a pan co myślałeś?

— Ja myślałem o sztucznych zębach, gdyż jestem lekarzem dentystą...

---

[1]) rodzaj żniwiarek, t. j. maszyn do żęcia zboża, wyrabianych w Warszawie.

— Jakto? więc pan dobrodziej nie jesteś ten... jak on to się nazywa... ten, a u dyabła! i to już zapomniałem... Mniejsza, jak on się zwał... ale koniec końców pan dobrodziej nie jesteś tensam pan dobrodziej, hę?

— A nie jestem, nie — odpowiedziałem, dusząc się od śmiechu.

— Przecież tam na drzwiach stoi napisane... jakże to...

— Kratecki, mówię.

— To, to, to... Kratecki — więc pan nie Kratecki?

— Nie, nie — zapewniam pana, tylko odnająłem mieszkanie od niego na jakiś czas, dlatego i adresu ze drzwi nie zdjęto. Zresztą i on tu mieszka, tylko wchód do jego mieszkania przez inne drzwi z przedpokoju.

— Ach, to przepraszam, najmocniej przepraszam kochanego pana... No, no, powiedz naprawdę, nie gniewasz się na mnie?.. Bo to widzisz, ja rzadko przyjeżdżam do Warszawy...

— Niech pan będzie spokojny — to tylko pomyłka, prosta pomyłka...

— Ale jak Boga kocham, co ja ci nawymyślałem, no, no... darujno mi kochany doktorze od zębów... — rzecze szlachcic, siadając w fotelu. — Tylko też temu panu nie mów, że ja tak wygadywałem na jego maszynę. — Słyszę, że to uczciwości człowiek...

— Otóż i on! — zawołałem — albowiem w tej chwili pokazał się we drzwiach mój gospodarz.

— Nie gadaj nic, bój się Boga! — szepnął szlachcic, ściskając mię za ramię.

Naturalnie, że obaj wkrótce się porozumieli i że zadowolony obywatel ucałował nas obu jak najserdeczniej przy pożegnaniu.

— Tylko też nie opiszcie tego wypadku gdzie w gazetach, bo całe garwolińskie śmiałoby się ze starego Kaniowskiego, jak ongi z ramotek tego... tego...

— Wilkońskiego...

— Aha, Wilkońskiego. Sprytna to była sztuka... Szkoda go, panie. Pamiętam, panie dobrodzieju, jak moja czytała, tośmy się całą noc uspokoić nie mogli, mnie aż szczęki bolały ze śmiechu, jak pana Boga kocham, tak bolały...

* *

*

Daruje mi pan Kaniowski, ale mając taki wypadeczek, nie mogłem wytrzymać, żeby nie pójść za przykładem chirurga filozofii[1]) i nie podzielić się taką dykteryjką[2]) z kochanymi czytelnikami.

(Fotografie społeczne. Lwów, Gubrynowicz i Schmidt 1884).

---

[1]) tak podpisywał się żartobliwie (przekręcając tytuł »doktor filozofii«) znany autor »Ramot i ramotek«, August Wilkoński (* 1805, † 1852).

[2]) żartobliwa powiastka.

KLEMENS SZANIAWSKI.

(KLEMENS JUNOSZA).

ŁACIARZ.

Smutna noc jesienna ukołysała do snu szlachecką wioskę podlaską [1]).

Domki i stodoły utonęły w ciemności, niby w olbrzymiem naczyniu, pełnem rzadkiego, rozwodnionego atramentu...

Z poza chmur ołowianych, ciężkich, czasem tylko, przelotnie, gdy wiatr silniejszy zawiał w górze, ukazała się gwiazdka drobna i zniknęła zaraz, jak ten, co się pokryjomu przez granicę przemyka... — Cisza była grobowa jakaś, uroczysta; światła pogasły, ludzie posnęli... tylko wicher hulający po polach porał się i borykał ze starą wierzbą rosochatą i odrywał z jej konarów połamanych i krzywych ostatnie listki pożółkłe...

Gruby pień tej schorzałej, w górnej części od pioruna rozdartej suchotnicy był wypróchniały wewnątrz;

---

[1]) Podlasie (wojew. podlaskie), ziemia leżąca w dorzeczu Bugu i Narwi, na zachód od białowieskiej puszczy (stąd zapewne nazwa); gł. miasto Drohiczyn.

z bocznych gałęzi rdzeń także już wypadł — i tym sposobem ze starej wierzby utworzył się jakiś flotrowers[1]) dziwaczny, z którego tchnienia wiatru kapryśne dobywały tony...

Z odległego boru dolatywały czasem przeciągłe, smutne wycia głodnych wilków i były jedynym głosem rozlegającym się wśród tej ciemności i ciszy.

Ludzie posnęli snem twardym, kamiennym — tym właśnie snem bez marzeń i widziadeł, jaki jest udziałem ciężko pracujących rękami.

Kto się sochy[2]) przez dzień cały nadźwiga lub też cepem dobrze namacha, temu nawet twarda ława starczy za pościel wygodną — temu snu mógłby niejeden możny pozazdrościć szczęśliwiec.

Od kilku już godzin, bo koguty dawno północ obwieściły, Morfeusz samowładnie powiewał w wiosce szlacheckiej i wszyscy jej mieszkańcy chrapali tak rzetelnie, jak na prawdziwą, zagrodową, chociaż zawsze wojewodom równą, szlachtę przystoi.

Podczas tej szarej nocy jesiennej w jednym z dworków, na skraju wsi położonym, migotało blade, niepewne światełko, a na szybach okienka rysował się cień człowieka pochylonego, zgiętego, wykonywającego wciąż ręką ruchy jednostajne, miarowe, automatyczne niby...

Któż czuwa we wsi o tak późnej godzinie? Komuż przyszła dzika myśl palenia światła wśród nocy, która

---

[1]) Z franc. fleute (flûte) traverse, więc właściwie fletrawers (Querflöte) = rodzaj fletu o dwóch rzędach dziurek.

[2]) pług drewniany, bez żelaza, dziś prawie zupełnie zarzucony, używany chyba w zapadłych zakątkach.

8*

jest na to dana, aby się człowiek mógł wyspać? Zajrzyjmy tam do izby....

Jest ona duża dosyć, o dwóch małych okienkach. Na kominie skwiercząc i trzeszcząc tlą się dwie mokre szczapy brzozowe, po których korze białej przemknie od czasu do czasu płomyk blady, zatrzyma się na chwilkę i cofa znów do swych rodziców, dwóch grubych głowien rozżarzonych, zaczerpnie od nich sił świeżych i silniejszy już, już nawet krwawym odblaskiem bogaty, z nowym zapałem rzuca się na szczapę i coraz gorętszym pocałunkiem zdziera z niej skórę białą...

W drugim rogu izby stoi łóżko wielkie i dźwiga na sobie wielką, kilimkiem w pasy wzorzyste powleczoną pierzynę... Z pod jednego jej rogu widać czepiec i część czerwonej jak cegła twarzy energicznej szlachcianki.

Pod kominem na garści słomy świeżej chrapie prawa ręka gospodyni, przysadzista Brygida, i widocznie ma jakieś sny idylliczno-pasterskie, gdyż często czyni gest taki, jakby cudzy dobytek wypędzała energicznie ze szkody.

Na ławce pod ścianą rozciągnął się chłopak, dwunastoletni może, najmłodszy już członek rodziny, głowę oparł na złożonym we czworo kożuchu, ręce podłożył pod głowę i leży tak spokojnie i cicho, jak wtedy, kiedy letnią porą woły pasąc przededniem, w cichej kontemplacyi [1]) przyglądał się gwiazdom wędrującym po niebie i tym szlakom mlecznym, po których, wedle podań ludowych, sami święci chadzają i aniołowie.

Sam pan Onufry, dziedzic tej chałupy i gruntu, śpi na drugiej stronie w paradnej izbie, w której sośnina

[1]) rozmyślanie.

żółtą powleczona farbą stara się jesion udawać, a swojej roboty płótno stół przykrywające imituje obrus.

Pan Onufry śpi jak zarznięty, jak wszyscy jego domownicy zresztą, jak jejmość, która się przez cały dzień setnie udreptała, a nakrzyczała, nagadała dwa razy więcej jeszcze!...

W izbie czeladniej i kuchni zarązem, gdzie na kominie ogień się żarzy, czuwa jedna tylko istota, ale obca temu domowi zupełnie.

Jest to żydzina blady, wątły, chudy, odznaczający się szczególną szpiczastością kształtów.

Ostro zakończona krymka[1]), nieco w tył zsunięta, pokrywa mu czubek głowy, a z pod tej krymki wymykają się krótkie wijące się pejsy, jak dwa świderki w skronie wkręcone.

Kontrabanda to niby — ale ten żydzina tak mało słodkich owoców zakosztował w swem życiu, że może ten zakazany, a tak w gruncie niewinny, jest jego jedyną pociechą i przyjemnością osobistą.

Na szpiczastym nosie tkwią okulary w oprawie mosiężnej, a przez szkła tych nosościsków starożytnych, nabytych może po jakim starym, bardzo starym mnichu, widać oczy przenikliwe, czarne, o spojrzeniu ostrem — chociaż zamaskowanem nieco przez mgłę łzawą, która jak tiulowa firanka pada na wzrok, znużony pracą i całonocnem czuwaniem.

Podłużną twarz kończy bródka rzadka, szpiczasta, wśród której niby biała fastryga na tle czarnego ubrania, jaśnieją srebrne nici przedwczesnej siwizny.

---

[1]) czapka z krymskich baranów.

Pierś wklęsła, zapadła i szczupła, przez ciężki, przerywany oddech świadczy — ile w niej pracy podejmują ubogie płuca, aby utrzymać życie ich właściciela...

Łokcie szpiczaste, palce wyschłe i zakończone ostro i nogi cienkie jak patyki składają się na całość, która podobną jest do szkieletu zamkniętego w podwójnym futerale: ze skóry ludzkiej i kilku łokci czarnego, wytartego już dobrze kamlotu.

Ta wątła, tak gorliwie pracy oddana istota — to Judka Silberknopf, pierwszy krawiec warszawski na całe Łosice i wszystkie okoliczności... jak sam utrzymuje...

Przed nim na stole leżą nożyczki, garść guzików, parę pasem nici, kawałek nalepionego na deseczkę wosku i tabakierka z kory brzozowej z rzemykiem, napełniona zieloną ruską tabaką...

Od czasu do czasu, kiedy mgła łzawa bardziej oczy zasłoni, kiedy powieki nabiorą ołowianej ciężkości i opadać zaczną bezsilne, chude palce Judki czerpią z tabakiery porcye zielonego proszku — i świeżość chwilowo powraca.

Do oczu napłyną łzy większe, mgłę zmyją i znowuż wzrok bystrzej śledzi ściegi igły, mającej uszyć fajn palto warszawskie z takim dużym kołnierzem, jak sam jaśnie hrabia nie nosił.

Oprócz tabaki stoi jeszcze na stole mała buteleczka wódki, kawałek chleba, dwie cebule i szczypta soli w papierku; ale Judka człowiek praktyczny, on nie wypije teraz wódki i nie zje cebuli, bo wie o tem dobrze, że za parę godzin, kiedy on będzie rękawy przyszywał, a tam na wschodzie, między niebem a ziemią

zarysuje się już widocznie pas blady, budzący do trzeciego piania koguty — jemu się zrobi coś koło serca niedobrze...

On wtenczas uczuje takie ściskanie w dołku i taką niemoc straszną, że mało ze stołka nie spadnie; zrobi mu się słabo, przed oczami ujrzy migające się koła, bardzo ładne koła czerwone, zielone, niebieskie, złote, czarne złotem centkowane, a nareszcie już całkiem czarne, które szybko zaczną się łączyć z sobą i tworzyć jedną czarną całość...

Wtenczas lekki dreszcz przebiegnie mu po grzbiecie, na czoło wystąpią duże krople potu... zapadła pierś ciężko pracować zacznie — i chwilowo wyda mu się, że Jehowa zbiedniał i że ma zaledwie trochę powietrza i to dla bogatszych żydów naturalnie...

Judka zna dobrze takie chwile — jemu to już nie pierwsze... On później w modlitwie przeprasza swego Stwórcę, że miał takie posądzenie grzeszne... ale jemu się zdawało, że już niema dla biednych powietrza.

Dla tego też, że zna te interesa, więc wódki nie wypije zaraz. Przyjdzie czas na to, nie potrzeba na zegarek spoglądać... Koła zielone i złote błysną przed oczami...

Wtenczas Judka wstanie, wyprostuje się, zwilży wodą skronie, umyje ręce, zwróci oczy w tę stronę, gdzie już wyraźnie pas złocisty ziemię od nieba oddzieli, i zmówi krótką modlitwę.

W tej modlitwie same dziękczynienia zawierać się będą. Judka powie tak:

— Dziękuję ci, Boże, żeś mnie nie stworzył kobietą; dziękuję, żeś mnie nie stworzył niewolnikiem, żeś mnie nie uczynił psem!

Czyli: dziękuję za to, że jestem dzielnym mężczyzną; że jestem wolnym człowiekiem i mogę pracować ośmnaście godzin na dobę; że wreszcie jestem pierwszym krawcem warszawskim na całe miasto Łosice i wszystkie okoliczności, nie zaś brzydkiem i głupiem zwierzęciem.

Potem z czystem już sumieniem Judka odleje maleńką cząstkę trunku na ziemię, a resztę wysączy powoli, rozkoszując się każdą kroplą, która odrazu wprowadzi ciepło ożywcze do jego zziębniętego, wstrząsanego przez dreszcze organizmu.

Wypiwszy wódkę, spożyje małą ilość chleba z dużą ilością soli i zje cebulę — ale jedną tylko — gdyż takie cebule nie trafiają się codzień. Są one wielkie, płaskie, bladoczerwonawe, ze szczególnym srebrnym połyskiem — i mogą być prawdziwą ozdobą szabasowej uczty.

Dlategoteż jedna z nich musi być schowana na zapas, w najgłębszej kieszeni wytartego chałatu.

Załatwiwszy się z kwestyą pożywienia, z czerwonemi oczami, lecz z rzeźwością wywołaną sztucznie, Judka dmuchnie w ogień i postawi na kominie dwa żelazka z rączkami owiniętemi w szmaty, dwa żelazka czarne jak jego dola, a twarde, jak ta konieczność nieubłagana, co mu kark zgina ku ziemi i brodę przedwczesną siwizną przyprósza.

Zanim chrapiący mocno szlachcic i jego czeladka zbudzą się ze snu twardego, zanim Judka wykończy warszawskie fajn palto, z kształtu do dużego worka podobne — cofnijmy się myślą wstecz i w kilku rysach pośpiesznych spróbujmy nakreślić biografię tego łaciarza.

Nie będzie w niej pięknych i estetycznych obrazów — brud, głód, ciemnota i praca nad siły — oto cztery filary, na których się wsparło życie tego człowieka. Siła pamięci nie utrwaliła w jego głowie obrazów pięknych i poetycznych. Jak daleko sięgnęłaby myśl jego w przeszłość, wszędzie szaro, ponuro, brudno...

Jeżeli marzył o czem w dniach młodości, to chyba tylko o rublach srebrnych lub może o wielkich postępach w talmudycznej mądrości — ale ani bogactwo ani uczoność nie były zapisane w księdze jego przeznaczeń.

On odziedziczył po ojcach rzemiosło, z którego utrzymywać się musiał.

Pradziad jego w temsamem miasteczku szył szlachcie dostatnie czamary z potrzebami [1]) i grube opończe od deszczu.

Były to piękne czasy!

Żyją one po dziś dzień w tradycyi rodzinnej Judki, w żywem słowie przechodzą z pokolenia w pokolenie, ale bo też jest opowiadać o czem!...

Szlachcic wprawdzie niechętnie grosza z kieszeni dobywał — ale wszelkiego prowiantu [2]) nie żałował, a taniość była ogromna!

Nie było osobliwością mieć całego szczupaka na szabas — a czasem nawet w dzień powszedni widywano mięso.

Roboty było dość po dworach, zarobek stąd częsty, a bogactwo było tak wielkie, że kiedy pradziad babkę

---

[1]) tak nazywają się sznury i wyszycia u czamary.

[2]) żywność dla wojska lub wogóle żywność.

Rojzę za mąż wydawał — to jej w posagu czystem złotem cztery oberżnięte dukaty wyliczył... a oprócz tego jeszcze talara srebrnego dał na szczęście.

To czasy były... czasy!...

Dziad Judki, który odziedziczył po ojcu część domu i warsztat, już nie miał tego losu. Zawsze jednak chwalił czasy swoje, zrobił albowiem arcydzieło sztuki krawieckiej, arcydzieło, o którem lubił wnukom opowiadać...

Zrobił frak!...

Frak dla samego pana burmistrza, na wesele, prześliczny! granatowy, z guzikami złoconymi, do tego kamizelkę w kwiaty białe i okoliczności z nankinu kanarkowej barwy.

Wszystko leżało jak ulał, frak był piękny, długi, z wąziutkimi rękawami — pieścidełko istne — a cały garnitur sprawiał wspaniały, nie dający się opisać efekt...

Ba! w owych czasach ludzie mieli gust, ubierali się jak lalki, a panowie byli!... pięć złotych za uszycie garnituru dawali bez targu.

Dziadek miał dwóch synów, więc na ojca Judki już tylko ósma część domu przypadła. Czas się już psuł potrosze. Firma zaczęła upadać, zniżono się do szycia chłopskich sukman i przedpotopowych, chociaż zawsze modnych, surdutów dla zagonowej szlachty.

W tym czasie nasz bohater ujrzał światło dzienne...

O ile może zasięgnąć pamięcią, przypomina sobie trzech lub czterech wychudłych żydziaków, schylonych nad wązkim stolikiem i szyjących zawzięcie.

Przy drugim stole ojciec, chudy, suchy jak szczapa, a dobrze już posiwiały majster, tępemi nożyczkami krajał grube sukno. Nożyce wydawały zgrzyt nieprzyjemny,

a Judka czołgając się pod stołem, chwytał chciwie skrawki, które były dla niego tem, czem dla bogatych dzieci są lalki mechaniczne, piękne, duże konie na biegunach lub welocypedy...

Ojciec miał bardzo dobre serce i nie żałował synowi skrawków drobnych, ale i szczodrość ojcowska nawet ma także swoje granice; — gdy więc chłopak porwał kawałek mogący się przydać na łatę, wówczas rodziciel konfiskował mu tę zdobycz i karał go kilkakrotnem uderzeniem po plecach jarmułką...

Judka z wrzaskiem niezmiernym tulił się pod opiekuńcze skrzydła, a raczej pod fartuch matki — i tu dopiero doznawał pewnego pocieszenia w swej niedoli, gdyż matka pakowała mu w usta kartofel, uderzała pięścią w kark i wyrzucała za drzwi, z krzykiem:

— Gaj weg! dy paskidnik!!!...

Co znaczy — »idź, aniołku, posil się nieco i pobiegaj po świeżem powietrzu«.

Kartofel uspokajał wzburzone nerwy Judki — wesołość wracała — tem bardziej, że znalazło się grono przedsiębiorców, równych mu pojęciami i wiekiem, którzy z wiórów zebranych na podwórku budowali bardzo piękną kamienicę piątrową, czyniąc przytem wrzask równie wielki, jak przy zdobywaniu Jerycha...

Młodość Judki upływała w jednakowych ciągle warunkach, w zimie grzał się pod piecem, w lecie zaś na słońcu — żywił się, a raczej żywiono go kartoflami i rzodkwią, a za nieposłuszeństwo lub inne zdrożności ojciec bił go jarmułką, a matka tem, co miała pod ręką...

Kiedy już pięć lat życia skończył, wówczas ojciec myśleć zaczął o jego edukacyi.

Ta edukacya spadła na niego jak grom, niespodzianie i nagle. Wzięto go do szkoły tak, jak za dawnych czasów brano do wojska.

Pewnego pięknego poranku (bo zwykle w czarnych chwilach życia poranki bardzo piękne bywają) przyszło dwóch starszych, dwunasto lub trzynastoletnich żydziaków, pochwycili małego delikwenta za ręce i pociągnęli z sobą.

Trzeba mu było oddać tę sprawiedliwość, że bronił się walecznie... Opierał się nogami o bruk, krzyczał, walczył, ale wobec przemagającej siły ustąpić musiał...

Przeprowadzony przez kilka uliczek, wepchnięty został do izby ciemnej, zadusznej, pełnej dzieci, które ciekawemi, szeroko otwartemi oczami przyglądały się przybyszowi...

Przy osobnym stoliku w izbie tej siedział mąż wiedzy i mądrości wielkiej — a dziwnie surowego oblicza; przed nim leżała gruba księga, nosząca na sobie ślady palców wielu pokoleń, z których prawdopodobnie każde używało więcej tabaki niż mydła, gdyż rogi kart były poczerniałe zupełnie.

Mistrz miał minę surową, a wejrzeniem wielkich, czarnych oczu przejmował strachem całe audytoryum [1]). Z pod jego pluszowej, wypłowiałej czapki wysuwały się włosy czerwonawe, a długa kasztanowata broda spadała mu na piersi... Mistrz trzymał w ustach fajkę porcelanową głęboką, na długim cybuchu. W tem naczyniu, które przed laty wielu przywiózł mu w prezencie

---

[1]) część sali wykładowej, zajęta przez słuchaczów, przen: sami słuchacze.

pewien bardzo wielki kupiec wprost z Gdańska, tliły się kawałki tego czarnego tytoniu, który nosi na paczce napis: »Świcent wyborowy cienko krajany«.

Niebieskawy dymek z tego wyborowego, cienko krajanego narkotyku, łączył się z ciężką i duszną atmosferą szkoły i czynił zapach niepodobny zgoła do woni róż, fijołków lub konwalii.

Judka, trwogą przejęty, z przerażeniem spoglądał na mistrza, na jego brodę kasztanowatą i na cybuch, o którym podania młodszej generacyi przyszłych kupców i obywateli miasteczka twierdziły, iż dziwnie gładko przylega do pleców i ułatwia dziwnie bardzo zrozumienie zawiłych znaczków hebrajskiego abecadła.

W czasie dalszego pobytu w przybytku mądrości Judka przekonał się osobiście, że podania te nie były owocem zmyślenia i fantazyi, ale prawdą najszczerszą; mistrz bowiem, obok wielkiej uczoności i rozumu wysoko delikatnego, miał prawicę silną i kosztownego cybucha w szlachetnym celu krzewienia oświaty nie żałował wcale...

System edukacyi był bardzo prosty i niewymyślny. Mistrz omijał rozum, a trafiał wprost do pamięci... przez plecy.

Nie jego wina, że mu najczęściej tamtędy droga wypadała.

Dla oszczędności czasu — pomijał on wszelkie tłómaczenie i trzymał się tej wzniosłej, pełnej prostoty pedagogicznej zasady, która jest podstawą gry, tak zwanej »w ojca Wirgiliusza«:

»Ojciec Wirgiliusz uczył dzieci swoje,
Miał ich niewiele, dwadzieścia i dwoje:

Dalej dzieci, dalej ha!
Czyńcie to, co i ja!«

Uczony mełamed[1]) łosicki, szanowny Rebe Jojna Gewaltlehrer, grał z pupilami[2]) swymi w ojca Wirgiliusza w ten sposób, że sam powoli, głośno, z deklamacyą śpiewną i kiwaniem się nieustannem czytał, a dzieci wszystkie razem powtarzały przeczytane wyrazy, naśladując intonacyę głosu i wykonując takie same ruchy, jakie czynił mistrz.

Jest to system znakomity, a ma jeszcze oprócz wielu zalet i tę jedną wielką, a nowożytnym pedagogom nieznaną, że oszczędza wydatku na sprawienie szyldu dla szkoły.

Niezmierny wrzask, który daleko jest tańszy i mniej kosztowny od deski z odpowiednim napisem, zawiadamia z daleka przechodniów i bliższych mieszkańców o istnieniu przybytku wiedzy i zarazem daje przewodnikowi szkoły najwymowniejsze świadectwo, że młodzież nie próżnuje, lecz gorliwie i pilnie oddaje się pracy naukowej i ćwiczy swój umysł.

Rebe Jojna słusznie też cieszył się wysokiem uznaniem jako pedagog mądry i energiczny, gdyż potrafił uczyć młodzież najpiękniejszych rzeczy z ksiąg, które umiał wprawdzie czytać — ale nie rozumiał ich wcale.

W tym przybytku wiedzy Judka przebył lat pięć i po zabraniu bliższej znajomości z cybuchem szanownego pedagoga, uczynił takie postępy, że czytał księgi

---

[1]) nauczyciel w szkole wyznaniowej żydowskiej, zwanej cheder (chajder).

[2]) wychowanek.

święte z najpiękniejszą płaczliwą intonacyą — a kiwał się nad niemi tak zręcznie, tak miarowo, jak gdyby w grzbiecie miał osadzoną sprężynę.

Zmężniawszy jednak duchem, Judka nie zmężniał ciałem; był on cienki i blady, a dziwnie podobny do młodego, ze starej karpy[1]) wyforsowanego sztucznie... szparaga.

Na matowo-bladej jego twarzy nie zagościł nigdy rumieniec — tylko jedynie duże, szeroko otwarte, chociaż cechą zmęczenia napiętnowane oczy miały pozory życia.

Jak dla przyszłego krawca, edukacya zaczerpnięta z nigdy nie wysychającej krynicy szanownego Rebe Jojny, była aż nadto wystarczającą i skutkiem tego rozkazano Judce opuścić cheder i zasiąść przy warsztacie krawieckim, przy którym dziadek Judki uszył ów jedyny w historyi miejscowego krawiectwa frak, żyjący dotychczas jeszcze w pamięci starszych mieszkańców miasta...

Judka opuścił cheder bez żalu i bez czułych wspomnień, a do nowego zatrudnienia przystąpił też bez radości wielkiej.

Nawłóczył igły, przyszywał guziki, łaty przyczepiał i uczył się od ojca praktycznie jak należy przyklepywać rękami suknie na grzbiecie klienta i dowodzić, że ciasne jest wygodnem, a obszerne ślicznie przystającem do figury, że w całej okolicy wszystkie godne osoby muszą krój pochwalić i że sam hrabia z Wywłoki lepszego ubrania w swej warszawskiej i zagranicznej garderobie

---

[1]) szczątek kłody lub krzaka w wodzie, o który się zahacza sieć albo łódka (Linde).

nie posiada. Przy tej pracy prosty aż dotąd kręgosłup Judki powoli i nieznacznie skrzywiać się zaczął, a lewa łopatka, nie mogąc się z prawą swą towarzyszką na jednym utrzymać poziomie, opuściła się nieco.

W przyszłości te drobne felery uczyniły Judkę krawcem czysto cywilnym, gdyż inaczej może byłby został bohaterem i zbierał wawrzyny na polu walki, do czego nie miał jednak wrodzonego zamiłowania... Od małego dziecka przenosił igłę nad bagnet, a widok maszerujących żołnierzy przejmował go dreszczem.

Podczas swej praktyki fachowej zdarzało się Judce przy boku ojca odbywać wycieczki w okolice.

W takich razach oprócz potrzebnych narzędzi brali z sobą dwa worki, w których zawsze przynosili coś dla zaopatrzenia spiżarni mamy Ruchli.

Po sześciu latach praktyki Judka już był młodzieńcem i krawcem skończonym. Miał odświętną, własną ręką uszytą, kamlotową kapotę, czarny pas wełniany i buty. Nosił czapkę na tył głowy zsuniętą i szykował się do podróży w bardzo odległe strony, na kraj świata prawie...

W białej budzie płóciennej, z ojcem i kilku członkami rodziny, puszczał się w podróż do Sokołowa, gdzie miał do załatwienia pewien mały interes.

Miał się tam ożenić.

Wprawdzie nie widział nigdy pięknej panny Bajli Goldwasser, córki miejscowego Chabou[1]), która miała zostać wybranką jego serca i dozgonną towarzyszką życia — ale cóż to znaczy?

---

[1]) nazwisko sławnego krawca warszawskiego.

Czy gdyby ją był widział, dajmy na to, posag jej powiększyłby się choćby o grosz jeden? czy piękna Bajla potrafiłaby przez to lepiej gotować kartofle? lub taniej kupić chudą kurę na rynku?

Ani troszeczkę — pocóż więc próżna strata czasu i koszt niepotrzebny?

Orszak weselny już oczekiwał pana młodego z orkiestrą złożoną z skrzypiec, flecika i tamburyna... Co to wesele kosztowało pieniędzy!...

Wprowadzono państwa młodych pod starym spłowiałym baldachimem, ślub im dano, uraczono się na weselu i Judka rozpoczął nowe życie.

Piękna Bajla, zdjąwszy z głowy zasłonę, ukazała się oczom swego małżonka... Twarz jej była czerwona i piegowata nieco, postać cała przysadzista i krępa.

Właściwie nie było się czem zachwycać — ale należy przypuszczać, że gdyby nawet Bajla posiadała wdzięki biblijnej Judyth lub szekspirowskiej Jessyki — dla naszego bohatera byłaby to okoliczność bardzo podrzędna i mało wzruszająca. Dzieciak ten, dziś już mąż przecie — jeżeli kiedy marzył o czem, to najmniej o kobietach; był jeszcze tak młody, a pięknego w krótkiem swojem życiu widział tak mało, o uczuciach wogóle słyszał tak niewiele, że na bohatera romansu nie miał i mieć nie mógł najmniejszych kwalifikacyi.

Małżeństwo jego był to interes ułożony wspólnie pomiędzy jego ojcem i Szmulem Goldwasser, pierwszym krawcem na cały Sokołów.

Ojcowie złożyli po trzydzieści rubli gotowizną na kapitał dla młodej pary, a Judka miał przez pierwsze trzy lata przemieszkiwać przy teściu, żyć na jego stole i kształcić się wyżej w swym fachu.

Po upłynionych trzech latach powróci z żoną do rodzinnego miasta i znów trzy lata przy swoim ojcu przepędzi — poczem, odebrawszy kapitał z procentem, już na własną rękę, samodzielnie żyć zacznie.

Program ten został w zupełności wykonany...

Nie wiem, czy przez pierwsze trzy lata młodzi małżonkowie spojrzeli sobie w oczy serdecznie, czy uścisnęli się za ręce, czy powiedzieli do siebie jakie pieszczotliwe słówko — ale zdaje mi się, że nie.

On przepędzał czas cały przy warsztacie — ona dzieliła godziny swoje między kuchnię, kołyskę i targ, na którym puszczała się na małe spekulacyjne obroty.

Trzeba to jednak przyznać, że oboje byli sobie wierni i żadnemu z nich nie przyszła ochota rzucić spojrzenie w inną stronę. Po co? oni na siebie nie patrzyli prawie...

Przybywszy do rodzinnego miasta, Judka przejął się już duchem sokołowskiego postępu; nosił o dwa cale krótszą kapotę, miewał kilka razy do roku wyczyszczone buty, a nad drzwiami swego domu wywiesił szyld z napisem:

»Judka, krawiec warszawski«.

Dlaczego warszawski, zaraz to wytłómaczę. Judka nie kłamał, część wiedzy fachowej, nie bezpośrednio wprawdzie, nie wprost, ale przez kilka etapów[1]), spłynęła na niego z Warszawy.

Żeby to jednak łatwiej czytelnikowi wytłómaczyć, potrzebuję ułożyć coś w guście miniaturowej księgi rodzaju tej mądrości.

---

[1]) stacya w pieszym transporcie więźniów na Sybir; wogóle: stacya, przystanek.

Judka wyćwiczył się ostatecznie fachowo w pracowni swego teścia, mistrza Szmula Goldwasser. Szmul uczył się u Herszka Fajn w Białej, Herszko uczył się u Jankla Pięknego w Siedlcach. Jankiel uczył się u Abrama Gelbfisza, wielkiego krawca w Lublinie, Abram Gelbfisz kończył studya u Borucha Włodawera na Pradze — a nareszcie Boruch Włodawer praktykował u Chaima Tabaksbluma, który nie tylko że posiadał własny warsztat w Warszawie, ale nawet w dwudziestej szóstej części był właścicielem składu tandety na Krasińskim placu.

Tak więc nikt nie zaprzeczy, że cząstka wiedzy Chaima, przez szereg pośrednich stopni, spadła na Judkę i że majster ten miał niejakie prawa do tytułowania się krawcem warszawskim.

Prawo to przysługiwało mu tem więcej, że posiadał nawet kolorowaną rycinę z żurnalu z 1846 roku, którą można było podziwiać z ulicy przez okno, o tyle, o ile zakurzone szyby i massa much na to pozwalały.

Pomimo posagu jednak i licznej klienteli szczęście nie sprzyjało Judce. Ojciec jego umarł — on sam kilka razy ciężko chorował — dzieci było ośmioro — wydatki duże — kuracya pochłonęła zapasy... Judka siwieć zaczął, a kaszlał coraz mocniej.

Jedną tylko szczęśliwą, chociaż krótką chwilę miał w życiu.

Pewnego lata zadzierżawił ogród owocowy.

Cóż to był za raj!

Szył w budzie słomianej na świeżem powietrzu, co niedziela jeździł z transportem gruszek — a jakie życie miał pyszne!!

Bajla gotowała przedziwną zupę z robaczywych jabłek, które wiatr z drzewa przedwcześnie strącił, była moc zielonego szczypioru, młodych kartofli i rzodkwi.

Żyć, nie umierać, same delicye!

W tym okresie życia Judka śpiewał nawet. Czynił to co sobota, kiedy się szabas już skończył, a na letniem ciemno szafirowem niebie zajaśniały miryady gwiazd. Śpiewał jakiś majufes głosem drżącym — zapatrzony w mgły blade, co się jak duchy unosiły nad sąsiednią łąką, zasłuchany w rechotanie żab i krzyk derkaczy na błoniach.

Krótko trwało to szczęście!...

Finansowa strona interesu świetną nie była — wiele owoców postrącały burze, ceny też nieszczególne były, trochę ukradli złodzieje — trzeba się było wyrzec tego rodzaju przedsięwzięć na przyszłość tem więcej, że i kapitalik poszedł na wyposażenie dwóch starszych córek, które wraz z mężami osiadły przy ojcu.

Na dobitkę osiedlił się w mieścinie drugi krawiec, petersburskim zwany, ponieważ był w wojsku muzykantem i stał przez czas jakiś z pułkiem aż w Brześciu, skąd przywiózł takie świeże mody, że Judki stary żurnal nawet stracił wobec nich swój autorytet[1]).

Ta konkurencya była zabójczą. Lepsza klientela przeniosła się do modnego Abramka — a Judka, z workiem na plecach, wędrował po wioskach i sam szukał roboty po dworach i dworkach szlacheckich.

Właśnie od kilku dni już pracował u pana Onufrego, a pracował zawzięcie, przez ten czas albowiem uszył śliczną salopę dla pani Onufrowej, przerobił ze

---

[1]) powaga (auctoritas łac., autoritė franc.).

starego surduta kaftan dla panny Brygidy, obłatał i odświeżył z dziesięć sztuk rozmaitego ubrania i nakoniec tej nocy miał skończyć arcydzieło — palto dla samego pana Onufrego.

Za to wszystko, oprócz fury drzewa i prowizyi[1]) w naturze, prowizyi, którą pan Onufry przyrzekł solennie odstawić fornalką własną w przyszłym tygodniu, Judka miał otrzymać w gotowiźnie rubli srebrem cztery.

Arcydzieło trzeba było koniecznie wykończyć na termin.

— Słuchaj, żydzie — zapowiadał pan Onufry — płacę ci, bestyjo, po pańsku, ale pamiętaj sobie, żeby mi na piątek raniuśko paltot był — bo ja przez lepszego odzienia na odpust nie pojadę.

— Kiedy proszę jegimości — tłómaczył się Judka — niech jegimość uważy, co ja bez ten tydzień prawie nic nie spałem...

— A to czegoś czeladnika sobie nie przyprowadził?

— Co tu czeladnik ma zarobić, kiedy ja sam zarobię tak mało...

— Powiedziałem ci, kręć jak chcesz — aby było...

— Nu — to już ja zrobię, ale niech jegimość jeszcze doda choć pół korca kartofli dla dzieciów... niech jegimość kochany nie żałuje, teraz taki ciężki czas.

— A niech cię marności!.. dobrze, dam ci, ile udźwigniesz, abyś mi tylko zrobił — jeszcze ci u sąsiada robotę narażę.

Ta obietnica była dla Judki ostrogą — przesiedzi już czwartą noc z rzędu przy pracy — ale za to do-

[1]) opatrzenie w żywność, zapas (2. znacz.: procent).

stanie, oprócz zapłaty umówionej — pół korca kartofli, a i perspektywa nowej roboty coś znaczy...

Wziął się tedy gorąco do pracy, a kiedy pas złocisty zaczął się ukazywać na wschodzie — a on już do swego arcydzieła rękawy przyszywał, wówczas słabo mu się zrobiło. Barwne koła zamigotały przed oczyma z niesłychaną szybkością i zaraz prędko czernieć zaczynały...

Wtenczas Judka według zwyczaju swego poratował się kieliszkiem wódki i gryzącą cebulą z chlebem.

Kiedy siły wzmocnił i właśnie palto prasować zamierzał, zerwała się ze swego posłania Brygida i rozpaliła na kominie ogień, przy którym całego cielaka upiecby można.

Pani Onufrowa też wstała.

— A to — rzekła — żydzisko pażerny [1]) na zarobek, kiej jeszcze do tej pory siedzi!

— Każda biedność, proszę jejmości, jest bardzo pażerna — odpowiedział jej Judka — ale właśnie bez to, co ona taka pażerna jest — to jegimość będzie na odpuście wiglądał jak sam jaśnie pan hrabia z Wywłoki... Taki kawałek odzienie to jest rarytny interes!

Pani Onufrowa troskliwie obejrzała palto, zganiła trochę szycie, skrytykowała kieszenie, ale w gruncie rzeczy kontenta była, że jej szanowny małżonek tanim kosztem przyszedł do takiej elegancyi, a kiedy rzuciła wzrokiem na twarz Judki, wybladłą, zmęczoną, na oczy poczerwieniałe jak u królika — to jej się żal żyda zrobiło i rzekła:

---

[1]) pażerny lub pazerny = pożerny, żarłoczny, chciwy, (Linde).

— Może ci jeść co dać, boś jakoś kaducnie kiepski, mój Judko.

— Bóg zapłać jejmości, ale co ja tu mogę jeść? mnie niewolno tego, co państwo jedzą.

Baba przyznała mu słuszność.

— Co wiara to wiara — rzekła — zawdyk trza swego zakonu pilnować... i potem otworzyła szafkę, nalała kieliszek wódki i postawiła na stole.

— Naści — rzekła — to ci wolno przecie!

Drugi już z rzędu kieliszek i ciepło od rozpalonego na kominie ognia wywarły swoje skutki... Judka orzeźwił się, na twarz jego silne wystąpiły rumieńce, wpadł nawet w dobry humor. Dowcipkował, przymierzając workowate palto i gładząc je na szerokich plecach pana Onufrego. — Cóż, Małgosiu? — spytał świeżo ustrojony szlachcic — podobne to odziwadło do czego?...

— No niby niema co gadać, sprawny żyd — porządny statek ci uszył.

— Niech jegimość sam uważy, jak to leży — mówił Judka, wygładzając dłonią fałdy na plecach — niech kto drugi zrobi taki fajn palto! to jest kawałek roboty, to jest sztuka! Aj waj, jegimość tak wigląda, jakby miał na wielgie wesele jechać — ja zarobiłem moje pół korca kartofli...

— No, słowo się rzekło... dam, odeślę ci z tem, com obiecał.

— To ma być dopiero we wtorek, niech mi jegimość da dzisiaj choć z ćwiartkę dla moich dzieciów — ja wezmę z sobą do domu. Uni tam pewnie już nic nie mają do jedzenia; za taką fajn robotę, niech uni sobie zjedzą tę trochę kartofli!

Szlachcic zaprowadził żyda do kopca, pomógł mu wsypać w worek dobrą ćwierć kartofli — potem zapłacił umówione honoraryum — i rozstali się.

Pan Onufry z małżonką pojechał na odpust. On w paltocie nowym, w czerwonym szaliku na szyi, wygolony świeżo, miał niezwykle uroczystą minę. Pani zaś w ogromnej, przedpotopowym jakimś krojem zrobionej salopie wyglądała jak mały — stożek siana.

Judka poszedł pieszo.

Na zgarbionych plecach niósł ciężki worek, w którym oprócz kartofli znajdowały się jeszcze dwa krawieckie żelazka.

Na drodze szkaradne było błoto. W powietrzu wisiała mgła ciężka, szara, z poza której wychylały się niewyraźnie kontury drzew i krzaków przydrożnych.

Do miasteczka było blizko dwie mile, a Judka potrzebował stanąć tam przed zmrokiem, gdyż to był piątek. Szabas się miał rozpocząć.

Liczył na swoją lekkość, na drewniany łokieć, którym się podpierał, wreszcie liczył na to, że może go na drodze jaki chłop dopędzi i na furkę swoją zabierze.

Przecież go wszyscy znają w tej okolicy...

Żeby mu lżej iść było, zawinął poły chałata i uczepił je z tyłu za pasem; nadał swojej kapocie jakby kształt fraka, którego ogon wlókł się po błocie, ilekroć to głębszem było.

Niełatwa to rzecz iść pieszo — po wyboistej drodze, pełnej grzęzkiego błota, zwłaszcza gdy się dźwiga ciężar, stosunkowo dość znaczny...

O, niełatwa! ale Judkę popychało do domu szczęście wielkie.

On miał taki śliczny tydzień — tak dużo zarobił! Będzie miał furę drzewa i trochę prowizyi — w kieszeni gotowizną posiada całe cztery ruble, a na plecach niesie ćwierć kartofli!

Z takim sutym zarobkiem warto przecie śpieszyć do domu!

Szedł więc drogą i dumał.

Z początku myśli jego koncentrowały się na sumie, którą zarobił. Rachował, obliczał, co może kupić za owe cztery ruble, oraz ile też jest warta fura drzewa i prowizya, którą ma dodatkowo otrzymać... Myśląc o tem, szedł bardzo szybko, tak dalece szybko, że uczuł, iż mu się robi gorąco. Twarz zaczęła go palić... a pierś pracowała forsownie. Musiał zwolnić kroku, nareszcie stanął, położył ciężar na ziemi, zażył tabaki i zaczął się oglądać, czy jaka fura chłopska nie nadjeżdża...

Wówczas przekonał się, że jeszcze dwóch wiorst nie uszedł.

Jak mógł okiem zasięgnąć — droga zupełnie pustą była... z przeciwnej tylko strony jechało fur kilka; dziad kulawy, wziąwszy kule pod pachę, śpieszył na odpust, a biegł zamaszyście, śpiewając jakąś piosnkę niezbyt nabożnej treści.

Wszyscy w tamtę stronę!

Przypomniała mu się rozmowa z panią Onufrową i zaczął o niej rozmyślać.

Sam powiedział, że biedność jest pażerna i chciwa — a przez to, że biedność pażerna, bo głodna wiecznie — bogaci mają uszyte ubranie.

To prawda jest, myślał, bieda to jest brzydki interes, a głód dziwnie podobny do bata; on bije, bar-

dzo mocno bije. Koń u woziwody dostaje dużo kijów, ciągnie dużo wody, ale zato ma trochę siana. Na te ciężkie czasy koń robi niezły interes — ale łaciarz robi gorszy. Dlaczego gorszy? bo koń potrzebuje tylko siana i nie ma ani żony ani ośmiorga dzieci, nie potrzebuje wyprawiać uczty szabasowej ani wydawać córek za mąż.

Judka chciał już zazdrościć koniowi, ale się przeląkł tej myśli.

Fe! cóż znowu! Koń jest bydlęciem, a on pierwszy krawiec warszawski na całe Łosice, co rano dziękuje Panu Bogu za to, że go stworzył człowiekiem. Koń jest głupi, a on przez pięć lat pił ze studni mądrości u uczonego Rebe Joyny. Konia po śmierci psy zjedzą, a on leżeć będzie wygodnie w ziemi pod słupkiem, na którym wyrzeźbią świecznik. Dusza jego pójdzie do przodków sławnych.

Nie! łaciarz nie zazdrości koniowi losu. On przecie miał taki obfity zarobek w tym tygodniu! Już odpoczął i puścił się w dalszą drogę.

Idzie, ale go dziwna senność ogarnia. Patrzy bezmyślnie w mgłę szarą, stawia krok za krokiem automatycznie, ale kroki są coraz wolniejsze. Nogi ociężały, jakby kto do nich po kawale ołowiu przywiązał — nie chcą się trzymać prostego kierunku, lecz coraz zachwieją się niepewne i zakreślają łuki, jak u pijanego.

Wszakże Judka nie jest pijanym, on czuje się tylko słabym nieco.

Ale to bagatela, to przejdzie; jemu to nie pierwszy raz się zdarza... O! wieleż razy tak było! Jest to tylko senność. Senność, przy której głowa boli trochę i dreszcze przebiegają po ciele. Czasem bywa z takiego

interesu choroba, a czasem tak przechodzi. Często przechodzi, Judka wie, że się można do tego przyzwyczaić, zresztą może furmanka się trafi...

Niestety, nie widać.

Pół drogi już przeszedł, lecz cóż to jest? — miasto nie przybliża się wcale, owszem zdaje się nawet oddalać — a worek strasznie ociężał. Czyżby szlachcic zamiast ćwiartki kartofli wsypał w niego grochu?

Nie, to istotnie kartofle. Gniotą one grzbiet... bardzo gniotą — ale czemuż są tak okropnie ciężkie? Przecież jak je brał na plecy, nie wydawały się takimi i spać mu się tak nie chciało jak teraz.

Powieki opadają bezsilne, nogi odmawiają posłuszeństwa, trzeba spocząć koniecznie...

Niepodobna iść dalej...

Na szczęście jest tuż przy drodze wzgórek, dość suchy, zeschła, pożółkła trawa na nim sterczy. Musiał tam niegdyś stać dąb, jeszcze pień czarny szeroki świadczy o tem.

Doskonałe miejsce do wypoczynku.

Judka położył worek na pniu, sam zaś usiadł na wzgórku.

Jeszcze ma czas. Mgła opadła nieco i blade, jakby zaspane słońce, co się z poza chmur wymknęło chwilowo, świadczy, że jeszcze południa nie masz. Przed zachodem zajść można.

Judka siada i rozmyśla, dlaczego Pan Bóg dał biednemu człowiekowi głupie nogi, co mdleją? Dlatego zapewne, że go obdarzył delikatnym rozumem... I to jest prawda...

Ale to się wszystkich ludzi nie tyczy. Jakie naprzykład znakomite nogi ma każdy faktor — jak on

lata za geszeftami, jak zając! ale zato on nie potrafi uszyć fajn warszawskiego paltota i — nie spać przez kilka nocy.

Już takie przeznaczenie. Trzeba się cieszyć talentem albo zdrowiem. Judka się cieszył talentem.

Liczy w myśli kapoty, jakie uszył w ostatnich czasach; były to śliczne kapoty! potem zgaduje, co też Bajla ugotowała na szabas? Zapewne wiele bardzo dobrych rzeczy. Śliczna to rzecz jest szabas! W tym dniu zawsze się jada i sypia, oraz chwali Boga... Kto szabas wymyślił, to musiał być bardzo mądry... O tak!...

Myśli Judki sięgają w przeszłość — jak w kalejdoskopie tworzą się w nich coraz to nowe obrazki... Cała historya życia staje przed oczami — czuje, że mu słabo — skąd znów?

To znużenie, sen dopomina się o swoje prawa.

Głowa opada na piersi, cały korpus pochyla się nareszcie mimowolnym ruchem. Łaciarz podłożył ręce pod głowę, wyciągnął nogi i usnął...

Dwie wrony kracząc zakreślają koła w powietrzu. Nareszcie siadły na zagonie i z daleka przekrzywiając głowy, przyglądają się śpiącemu. Potem wzlatują znów w powietrze i z góry przypatrują mu się bacznie, kracząc krzykliwie...

Dziwi je zapewne, dlaczego ten żyd śpi przy drodze? — że nie umarł jeszcze, wiedzą dobrze — ba! wrony doskonale znają się na tem.

Już słońce zniża się ku zachodowi — po drodze chociaż błotnistej, jedzie szybko wóz drabiniasty, w dzielne trzy konie zaprzężony. Na wozie, na siedzeniu ze słomy siedzi pan Jacenty, ekonom z sąsiedztwa, fornal Grzela

powozi. Jadą po jakąś maszynę widocznie, bo wóz dobrze słomą wyłożyli i obroku na parę dni mają ze sobą.

— Stój Grzela, stój! — woła Jacenty — patrzno kto tu leży?

Grzela wstrzymał konie.

— A dyć to panie, chyba zyd...

— Czy pijany? czy chory?

— E panie, może umarty, to uciekajmy lepiej, bo nas będą wodzić tam za świadków.

— Pewnie, ale trza obaczyć; jak żywy, to go weźmiemy na furę, a jak trup, to w nogi!

Grzela zeskoczył z wozu...

— Panie! to je łosicki zyd, Judka, ale musi być zywy, bo krzynkę jeszcze dycha.

— Żydzie, Judko! — krzyknął pan Jacenty, a nie siabas to na ciebie, bestyjo?

Na ten wykrzyknik Judka zerwał się prędko, spojrzał nieprzytomnemi, jakby obłąkanemi oczami i na razie nie mógł zmiarkować, gdzie jest i co się z nim stało.

— A dyć siadaj, bestyjo! — zawołał Grzela — to cię zawieziem do Łosic...

Dziękując, kłaniając się do samej ziemi, łaciarz ze swym ciężarem wdrapał się na wóz i opowiedział ekonomowi, skąd idzie.

— Ale żeby też tak paść przy drodze, jak nie człowiek — rzekł, jakby sam do siebie ekonom — to dopiero!

— Proszę jegimości — odpowiedział Judka — między nami jest takie gadanie, co kura nie ptak, koza nie bidło, a krawcy nie ludzie.

— Jakto nie ludzie! a cóż ty jesteś?

— Nu niby uni ludzie, a nie tak jak ludzie, krawcy tylko...

— Ale baj baju, będziesz w raju! a któż ci kazał, żeby, panie dzieju, cztery noce nie spać?

— Nikt mi nie kazał, tylko widzi jegimość, każdy człowiek potrzebno żyć. Krawiec też musi żyć trochę, a jak un chce żyć, to nie może spać, a jakby chciał spać, toby nie mógł żyć, to jest bardzo prosty interes...

— To ci zyd śpekulantny — wtrącił Grzela — na każdy sposób ma bestyja swój wykręt!...

. . . .

Przy osobnym, nakrytym stole w parę godzin później, siedział Judka ubrany w nową kapotę i szpiczastą czapkę z futrem.

Dzieci jedne już spały, drugie ziewały po kątach. Pani Bajla ustrojona w jakiś dziwnego rodzaju tupet[1]) ozdobiony kwiatami i wstęgami żółtemi, kładła na talerz swego małżonka i pana kawałek mocno korzeniami zaprawnej ryby. A ten mąż i pan i głowa całej rodziny myślał o tem, jaki świat piękny! kugiel smaczny, życie rozkoszne, a szabas błogosławiony!!!

Tyfusu nie dostał, bo takie niewywczasowanie, ból głowy i dreszcze, przechodzą czasem... zwłaszcza, gdy się już kto do wszystkich rozkoszy życia przyzwyczai.

(Z mazurskiej ziemi. Warszawa, T. Paprocki i Sp. 1884).

---

[1]) pewien rodzaj uczesania włosów, fryzura.

MICHAŁ BAŁUCKI.

NIE ZAPOMNIAŁ DO ŚMIERCI.

Przed kilku laty spotykałem często na drodze około plantacyi, w porze, w której wracałem z obiadu, jedną dorożkę, ciągnioną przez parę szkap, wlokących się powoli, noga za nogą. Na koźle drzemał dorożkarz, a w powozie, przytulony do kąta, siedział jakiś nędznie ubrany, a gorzej jeszcze wyglądający człowiek. Twarz jego była koloru starej zapleśniałej skórki cytrynowej, a rzadki na niej zarost był mieszaniną jasnych i siwych włosów. Na głowie miał cylinder zatłuszczony i pogięty, na plecach czarny niegdyś, teraz wypłowiały i pozieleniały od starości surdut, zapięty pod szyję. Postać ta, spotkana gdzie w kruchcie kościelnej, albo na uboczu ulicy prosząca o wsparcie, byłaby bardzo naturalnem zjawiskiem, ale przejeżdżająca w dorożce i to prawie codziennie, a przynajmniej każdego piękniejszego dnia, mogła zaintrygować nieco. Po różnych domysłach przyszedłem do przekonania, że to będzie zapewne jeden z owych okazów dawnych skąpców i lichwiarzy, który

dla zdrowia dopuszcza się zbytku przejażdżki po świeżem powietrzu, gdy już chodzić nie może...

Ale służący Franciszek wywiódł mnie z tego mniemania.

Franciszek trudnił się obsługami — oprócz mnie miał jeszcze »kilku porzomnych[1]) panów« — cały dzień łaził po mieście za posyłkami, miał dużo znajomych, a że był gaduła, jakich mało, każdego ze znajomych zaczepił, z każdym zaraz w pogadankę się wdawał, więc wiedział więcej, niż niejeden gazeciarz; gdyby był piśmiennym, mógłby śmiało zabrać się do pisania »Tajemnic Krakowa«, na podstawie wiadomości, jakich mu udzielał lokaj od hrabstwa... gdy czekali razem na pisma przed księgarnią, albo kucharka od prezesa sądu, z którą się spotykał na piwku »Pod lisem«, albo stróż nocny z Floryańskiej ulicy, z którym mój Franciszek ciął pogwarkę nieraz do białego dnia.

Otóż przyszło mi raz na myśl zapytać owej encyklopedyi[2]) chodzącej, czy nie zna przypadkiem owego wyszarzałego jegomościa, przejeżdżającego się dorożką koło plantacyi.

— Ba, coby nie — odrzekł z kopyta — dorożka na niebiesko pomalowana?

— Tak.

— Dryndziarz w drelichowym kubraku?

— Tak, tak.

— A ten jegomość chudzina, mizerota — strasznie na dziada patrzy...

---

[1]) porządny.

[2]) dzieło zawierające zbiór najrozmaitszych wiadomości, uporządkowanych alfabetycznie (leksykon).

— Znacie go?

— Coby nie! — To B... (tu wymienił nazwisko).

— To pewnie będzie lichwiarz jakiś; skąpiec, co siedzi na pieniądzach?

— A skądby ich wziął? — Tam bieda, że strach! i gdyby Grzegorzowa się nie zlitowała i nie podała temu biedakowi czasem łyżki ciepłej strawy, toby już dawno kopyta wyciągnął.

— Któż to jest Grzegorzowa?

— Ano, baba — Grzegorzowa baba.

— No, rozumiem — ale któż Grzegorz?

— A no, ten fiakier, co się pan o niego pyta.

— Ten, co go wozi?

— No tak.

— A czemuż on go wozi?

— Bo chodzić nie może.

— To może jaki jego krewny?

— Gdzie zaś krewny! Grzegorz sobie był i jest fiakrem, a ten był panem jak się patrzy, tylko że zbiedniał.

— Był panem — a Grzegorz pewnie służył u niego — i teraz...

— Ale Grzegorz nie sługiwał po nijakich panach. Służył, co prawda, bez parę lat u Zegligowskiego, tego, co to trzyma konie, ale potem, jak wygrał proces, kupił sobie dwie pary szkap i jest sobie fiakrem sam dla siebie. Ma nawet karawan, którym wozi na cmentarz takich to biedaków z przedmieścia, co ich na sutszy nie stać.

— No, ale dla jakiej racyi wozi owego jegomościa?

— A właśnie dla tego procesu. Bo to tensam adwokat, co mu prowadził proces. Trzeba panu wiedzieć, że Grzegorzowi patrzyła się [1]) za żoną chałupa i grunt na Zwierzyńcu, ale krewniaki jak zaczęli kręcić, machlować [2]), tak nie dali mu nic i zostali na gruncie. Trzeba było procesować — ale na proces trza pieniędzy; to stemple, to pisarz, to wyroki, za wszystko płać — a tu nie było z czego. Wtedy doradził mu ktoś tego adwokata — nie był to całkiem adwokat, ino tak pokątnie radził i robił na tem nie złe interesa. Do tego jeszcze ożenił się z jedną gdową [3]), co jej wyprocesował mąjątek.

— Więc Grzegorz do niego się udał...

— A tak. — Chciał, żeby on ten proces wziął na siebie, a potem jak wygra, potrącił sobie za koszta i fatygę. — Adwokat nie kwapił się bardzo do tego; ale jak Grzegorz wziął go prosić, molestować — tak go i uprosił. Zrobili ugodę przy świadkach, opisali wszystko: jak, co, żeby potem adwokat go nie zdarł, bo go znali, że lubił pociągnąć z ludzi, i wziął się do interesu. A że spekulant wielki, więc przez dwa roki przeprowadził proces przez wszystkie stancye [4]) i wygrał. Grzegorz już nie miał wielkiej nadziei, to też kiedy dostał wyrok, ucieszył się nieborak, jakby go kto na sto koni wsadził. Wypłacił adwokatowi co do grosza, jak się umówili, i jeszcze mu zaniósł głowę cukru i sześć funtów kawy na Wielkanocne święta i powie-

---

[1]) należała mu się.

[2]) szachrować.

[3]) wdowa.

[4]) instancye (w sądownictwie).

dział, że mu do śmierci nie zapomni tej przysługi, że ile razy zapotrzebuje fiakra, to mu darmo pojedzie. Adwokat to nie bardzo wierzył temu, kiwnął ino ręką na tę obietnicę i rzekł:

— No, no, bodaj ja taki zdrów był, jak ja będę widział kiedy ciebie albo twoją dorożkę! Gadać łatwo.

Grzegorza to ubodło widać i wziął sobie na ambicyę, żeby adwokatowi pokazać, że jego gęba nie wiatrak, co po próżnicy miele, i choć niewołany, zajeżdżał, czy we święto czy w który ładny dzień, przewieźć adwokata i jego dzieci na spacer. Nawet kiedy żona umarła adwokatowi, Grzegorz nie tylko ze swoim fiakrem pojechał za pogrzebem, ale dał darmo drugą parę koni do karawanu, żeby suciej wyglądało. Potem mu i dzieci powywoził na cmentarz, co pomarły na cholerę; a teraz jego wozi, jak to pan widział.

— Mówiłeś przecie, że ten adwokat miał się dobrze...

— Tak, było mu długi czas dobrze, ale zachciało mu się zostać bogaczem, zaczął spekulować na jakieś papiery i stracił z kretesem wszystko odrazu. Nie tylko jego to trafiło — było dużo takich. I Marcinowa szynkarka zaprzepaściła wtedy u Niemców [1]) kilka tysięcy krwawo zapracowanych; i lokaj od państwa z przeciwka, mój dobry znajomy, ciułał biedak grosz i uciułał tego z kilkaset reńskich; — radzili mu, żeby za te pieniądze kawiarnię otworzył, ale nie słuchał...

— Więc mówiłeś, że ten adwokat stracił wszystko? — spytałem, chcąc Franciszka przywołać do porządku.

---

[1]) Mowa tu o znanym »krachu« wiedeńskim w roku 1873, t. j. bankructwie kilku banków, które wielu ludzi przyprawiło o znaczne straty.

— A stracił. Potem przyszła choroba ciężka, zapracować nie mógł — no i wyszedł na biedę. Grzegorzowie dali mu izbinę u siebie na Zwierzyńcu, ona go opiera, obszyje czasem i zjeść coś poda, a że i u nich się nie przelewa, więc wyrobili mu w magistracie i u zakonnic, że mu od czasu do czasu kapnie kilka reńskich albo dostanie przyodziewę starą albo i coś z wiktuałów. Mógłby się dostać do dobroczynności, ale nie chce, powiada, że woli umrzeć, niż zostać dziadem. Bo i prawda — nie każdy zgodzi się na to. Ja sam, gdyby na to mówiąc...

— I cóż jemu takiego, że chodzić nie może?

— A któż tam wie. Gdzie go posadzą, tam siedzi, bodaj cały dzień. Grzegorz go czasem wyniesie z łóżka i przewiezie trochę po mieście — to tyle jego uciechy.

Po tem opowiadaniu Franciszka z niecierpliwością oczekiwałem następnego dnia, aby przypatrzyć się lepiej i Grzegorzowi i owemu adwokatowi, którego w tak dotkliwy sposób los przekonał, że są jeszcze uczciwi ludzie, których słowom wierzyć można; ale jakby naumyślnie nie spotkałem ich dnia tego. I następnych dni napróżno ich upatrywałem, choć nawet przysiadłem na jakiś czas na ławeczce pod kasztanami, czekając, czy nie nadjadą. Nie doczekałem się.

Grzegorza widziałem nieraz — to jadącego na kolej to wiozącego kogoś przez ulicę Grodzką; ale z adwokatem nie widziałem go nigdy.

W jakiś czas potem, jednego pięknego dnia, idąc w towarzystwie dwóch dam w stronę ogrodu Strzeleckiego, ujrzałem wyjeżdżający z bocznej ulicy karawan bez baldachimu, pokryty całunem pokapanym woskiem ze

świec. Na karawanie była drewniana trumna pokostowana, na koźle woźnica w stosowanym kapeluszu i czarnym płaszczu, obszytym białymi galonami, budził od czasu do czasu poruszeniem bata szkapy, także okryte czarno, które szły powoli, śpiąco. Za trumną nie szedł nikt — ale to zgoła nikt.

Widziałem raz na jednym obrazie namalowany podobny pogrzeb, za którym szedł tylko pies ze spuszczoną głową i pamiętam, że obraz ten zrobił nadzwyczaj smutne wrażenie. A tu nawet psa nie było. Wskazałem moim towarzyszkom ten pogrzeb.

— Nikogo, to okropne — rzekła jedna. — Czy ten człowiek przeżył wszystkich swoich znajomych, czy też nie umiał nikogo przywiązać do siebie, choćby uczuciem politowania?

— Może jedno i drugie.

— Chodźmy oddać mu tę ostatnią przysługę — rzekła druga, trochę pochopniejsza do poświęceń.

Intencya była wcale dobra, ale na przeszkodzie w wykonaniu jej stanęło spotkanie się moich towarzyszek z państwem L., którzy byli nadto znajomi, aby ich można minąć bez zatrzymania się, a zanadto poważni stanowiskiem, aby ich zbyć kilku słowami, zwłaszcza że sami zaczepili i rozpoczęli rozmowę. Tak daleko poświęcenie mojej towarzyszki nie sięgało; brakło jej odwagi przekroczyć formy towarzyskiej grzeczności. Zatrzymaliśmy się tedy; panie rozpoczęły rozprawiać o pogodzie, o projektach wyjazdu na wakacye, wreszcie o strojach i bliźnich — i tyle znalazły na ten temat do mówienia, że po półgodzinnem staniu na miejscu wróciły za państwem L. na plantacye, by się mogły nagadać do woli. Rozumie się, że i ja wróciłem

z niemi. Byliśmy właśnie koło pałacu Moszyńskiego, kiedy karawan, który nas tak smutnie interesował, wracał już ku miastu. Konie, zostawiwszy swój pakunek na cmentarzu i pozbawione całunu, biegły szybko, a karawan pusty dudnił głucho po bruku. Ten turkot właśnie, całkiem odmienny od turkotu, jaki wydają zwyczajne wozy i dorożki, zwrócił moją uwagę; obejrzałem się, poznałem karawan, a w woźnicy — Grzegorza!

Dziwnie wyglądała jego twarz burakowa i oczy jakby maślanką zaszłe pod ogromnym stosowanym kapeluszem. Wyglądał biedak tak pociesznie, że tylko wspomnienie owej samotnej trumny przeszkodziło rozśmiać się w tej chwili.

Konie zatrzymały się przed szynkiem; właściciel ich, przyzwyczajony zapewne do częstego odwilżania gardła, zsiadł z kozła i w żałobnym uniformie, z biczem w ręku, poszedł na improwizowaną stypę pogrzebową. Przyszła mi ochota iść i spytać go o nazwisko nieboszczyka — czy to nie będzie ów adwokat, którego Grzegorz w dorożce obwoził koło plantacyi. Mogłem to uczynić tem łatwiej, że w szynku była dystrybucya[1]). Poszedłem niby po cygara. Panie były zagadane, nie uważały, że odłączyłem się od nich; owa panienka, która przed półgodziną tak żywo zajęła się nieznajomym nieboszczykiem, rozprawiała teraz z równym entuzyazmem o sukni hrabianki Adeli na ostatnim koncercie.

Pobiegłem tedy do szynku — dziewczyna nalewała właśnie Grzegorzowi półkwaterek, na który spoglądał z niekłamanem upodobaniem.

---

[1]) sprzedaż tytoniu i cygar (trafika).

— A kogo to woziliście, przyjacielu? — spytałem niby od niechcenia, przebierając cygara.

— Jednego ta pana.

— Czy nie B? — tu wymieniłem nazwisko, które mi Franciszek był powiedział.

— Pan go znał?

— Mówiono mi o nim i o was — poczciwy z was człowiek, Grzegorzu — i poklepałem go po ramieniu.

— E, niema o czem gadać. Ta to była moja psia powinność.

— I nikogo nie miał ze znajomych, że nikt nie poszedł za trumną?

— Mało kto wiedział, a choćby i wiedzieli, toby i tak nie poszli, bo od biedaka to każdy z daleka. Moja miała wielką ochotę iść na cmentarz, ale cóż kiedy od tygodnia w szpitalu i kto wie kiedy wyjdzie. Daj ta panna jeszcze półkwaterek.

Wychylił od jednego zamachu, splunął, zapłacił, potem pokłonił mi się ex re tej krótkiej pogawędki, przez którą poznajomiliśmy się z sobą, siadł na kozioł, machnął biczem — wio! i pojechał ku miastu — a ja podążyłem za mojemi towarzyszkami. Towarzystwo zastałem powiększone o dwóch dandysów[1]) miejskich, z których jeden z nadzwyczajnym zapałem opowiadał o jakimś panu Kulikowskim czy Rosołowskim, który raz dał mu słowo honoru, że czekać go będzie na plantacyach, na tej a na tej ławce, o tej a o tej godzinie — i czekał tam, pomimo że deszcz lał jak z cebra i pioruny biły na potęgę.

---

[1]) z angielskiego »dandy« (mów dendi) = elegant, modniś, wyróżniający się przesadną oryginalnością stroju.

— Wyobraźcie sobie, panie, moje zdziwienie — ciągnął dalej z ferworem [1]) ów jegomość — może w trzy godziny, kiedy już burza przeszła i plantacye obeschły nieco, idę ja sobie przez nie, a mój Kulikowski stoi pod drzewem zmoczony, jak nieszczęście. Zgłupiałem, bo gdzież mogłem przypuścić, że w taką ulewę...

— Widać, że jest człowiekiem honorowym — rzekła entuzyastka.

— Ależ to rzadki egzemplarz w dzisiejszych czasach! — zawołała pani L. — musisz go pan przyprowadzić do nas, radabym go poznać.

Miałem ochotę powiedzieć pani L. o Grzegorzu — tak na próbę tylko, czyby nie zapragnęła poznać go także; ale coś mię wstrzymało.

Zresztą, Grzegorz nie dawał słowa honoru...

(*Typy i obrazki krak. Pisma, t. XIII, Warszawa, S. Lewental 1893)*.

---

[1]) zapał.

WINCENTY KOSIAKIEWICZ.

MÓJ SĄSIAD.

Sąsiadem moim, z którym bardzo szybko zawarłem znajomość po sprowadzeniu się do nowego mieszkania, był pewien miły inteligentny staruszek...

Stróż domu, a za nim i lokatorzy nazywali go dziadkiem; i ja również w ten sposób do niego się odzywałem.

Miał on lat już przeszło osiemdziesiąt i twarz jego poważna, o rysach wyrazistych, okolona brodą i włosami srebrnymi, wzbudzała szacunek, a wyraz wpół dobrotliwy pociągał sympatyą.

Dziadek był kaleką. Przed trzydziestu siedmiu latami zaniewidział i od tego czasu cały świat kształtów, barw i światła został mu bezpowrotnie odjętym. Doskonale jednak umiał sobie radzić starowina z tem kalectwem; pokoik jego był tak milutkim i czyściutkim, że nieraz przychodziłem tu tylko dlatego, aby doznać przyjemności widzenia tego ładu, porządku i czystości.

Staruszek witał mnie zawsze bardzo chętnie. Lubił wogóle gości i wdzięcznym był tym, którzy przy-

szli go odwiedzić i przerwać choć na chwilę samotne jego godziny. Miał zawsze cukierki dla kobiet i cygara dla mężczyzn.

Gdy zaś zbliżał się wieczór, prosił gościa, aby sobie zapalił świecę.

Lubił opowiadać jak wszyscy starzy; był trochę rozwlekłym w tych swoich opowiadaniach, ale mówił zajmująco, barwnie i z werwą [1]).

Co mnie szczególnie interesowało w jego życiu, to historya jego kalectwa. Dla mnie była to tragedya. Czyż może coś okropniejszego spotkać istotę ludzką, jak utrata wzroku, utrata widoku tego świata, na którym żyjemy, tych ludzi, do których mówimy, tych przedmiotów, jakimi jesteśmy otoczeni.

Dziwiło mnie też bardzo, że dziadek opowiada o swojem kalectwie tonem tak naturalnym i spokojnym jak o swojej fajce... wprawdzie od tego czasu upłynęło lat trzydzieści siedem, kawał czasu, który i na oddzielne życie nie był zbyt małym.

Pewnego razu dziadek był dobrze usposobiony. Tytoń mu smakował, fajka doskonale ciągnęła, w pokoiku było ciepluchno i nic mu jakoś nie dolegało. Skorzystałem z tego i poprosiłem go, aby mi opowiedział, jak to się stało z tą stratą oczu.

Nie dał się wcale prosić, poprawił się w fotelu, puścił kłąb dymu i zaczął opowiadać swoim cichym spokojnym głosem.

— Trzeba panu wiedzieć — od tego zaczął staruszek — że w swoim czasie odrzucałem wszystkie

[1]) z ożywieniem, z zapałem.

drobne przesądy, z którymi tak trudno jest się rozstać nawet wykształconemu człowiekowi. Śmiałem się więc, gdy mi ktoś mówił o przeczuciach. A jednak, co pan powiesz, ja miałem przeczucie, że stracę wzrok.

Pomiędzy dwudziestym a dwudziestym trzecim może rokiem życia, ni stąd ni zowąd, bez żadnej przyczyny, na którą mógłbym wskazać, przyszła mi pewnego razu myśl do głowy, że mogę oślepnąć. I choć byłem zdrów jak ryba i nie przechodziłem nawet lekkiego choćby zapalenia oczu, odrazu zdjął mnie przed tą myślą lęk jakiś.

Spokojnie mogłem myśleć o śmierci, a doznawałem przykrego wrażenia, przypuściwszy, że spotkać mnie może to kalectwo.

I potem myśl ta, jak znajomy gość, odwiedzała mnie od czasu do czasu. Zawsze z lękliwością ją przyjmowałem. Odwaga opuszczała mnie przed tem tak strasznem dla mnie przypuszczeniem. Zdawało mi się, że niema nieszczęśliwszych na świecie istot, nad niewidomych.

Ze współczuciem też spoglądałem odtąd na tych upośledzonych biedaków i ślepi żebracy zawsze byli przeze mnie obdarzani. Z dziwnem zainteresowaniem się rozmawiałem z niewidomymi i rozmawiać z nimi mogłem o błahych rzeczach całemi godzinami. Wypytywałem i badałem ich, jak dalece są nieszczęśliwi.

Nie byli nimi w tej mierze, jak przypuszczałem, nie rozumiałem wszakże tego wówczas i sądziłem, że duma, obawa zyskania współczucia lub litości wzbrania im być szczerymi.

Myśląc o tem dosyć często, wynalazłem nareszcie sposób wyjścia, rodzaj lekarstwa na tę moją prawie manię.

Nie bałem się śmierci, jako to panu już mówiłem. Postanowiłem więc, że skoro kalectwo jakimś przypadkiem spadnie na mnie, odbiorę sobie po prostu życie. Będę miał tyle dumy i siły, aby nie ciężyć nikomu, nawet sobie.

Wszystkie te myśli, pamiętaj pan o tem, przychodziły do głowy człowiekowi, który miał oczy czyste jak kryształy, i z daleka trafiał do karty kulą pistoletową; było to więc przeczucie.

Pewnego razu zapadłem na oczy. Było to lekkie zapalenie, nic groźnego wogóle; po czterech dniach byłem już zdrów zupełnie. Cztery te dni wszakże przeżyłem w ciągłej obawie o wzrok, mordowany własnemi myślami i przypuszczeniami.

Potem minął rok cały spokojnie.

Raz wieczorem wróciłem do domu później niż zwykle. Nazajutrz obudziłem się nie wiem o której godzinie, ale było zupełnie ciemno. Przypuszczałem bardzo wczesną godzinę i dziwiłem się niezmiernie, że mimo to czuję się doskonale wyspanym i wypoczętym.

Poszukałem ręką zapałek, chcąc zapalić świecę. Ale jedna po drugiej zepsułem wszystkie, i żadna nie zapaliła się. Zadzwoniłem. Wszedł lokaj.

— Czy to Jan? — zapytałem.

— Tak proszę pana.

— Która to godzina?

— Pierwsza.

— Co? pierwsza? Jaka pierwsza?

Zdawało mi się na razie, żem przespał cały dzień aż za północ.

— Pierwsza po południu — odrzekł.

— Co? co? i na dworze jest widno?

— Pogoda bardzo ładna. Słońce dopieka...

Zerwałem się z łóżka i zacząłem trzeć oczy. Co to jest? Czy Jan żartuje ze mnie? Czy to jaka zmowa?

— Zapal świecę! — krzyknąłem.

Jan widocznie przestraszył się.

Zaczął pytać mnie. Ofiarował się pobiegnąć po doktora. Zapalił wreszcie świecę.

— Zapalona? — zapytałem.

— Już panie — odrzekł płaczliwym głosem.

Wziąłem ją w rękę i zacząłem palce przesuwać do góry.

Oparzyłem się wreszcie... Świeca więc była zapalona, a ja — nic nie widziałem.

Oślepłem więc.

W tej strasznej chwili, pamiętam to dobrze, wstąpiła we mnie jakaś rozpaczliwa odwaga i rozpaczliwy spokój. Usiadłem spokojnie na krawędzi łóżka i rzekłem do Jana łagodnym głosem:

— Ubierz mnie, mój Janie.

Zacząłem się naturalnie leczyć natychmiast. Z początku przypuszczałem, że jest to jakaś choroba oczu, która potrwa parę miesięcy, wreszcie niechby i rok cały. Jeździłem do najznakomitszych okulistów na świecie. Byłem w Wiedniu, Paryżu i Londynie. Na kuracyę tę oddałem cały niemal mój mąjątek, a byłem wówczas dosyć zamożnym człowiekiem

W początkach mojej choroby często dosyć zaglądała do mnie rozpacz zupełna i tak straszna, że szybko zacząłem siwieć pod wpływem okropnych myśli.

Miałem przecież nadzieję, iż wyzdrowieję. Dlatego leczyłem się i żyłem. Później wszakże zacząłem się godzić coraz bardziej z tą myślą, że wzrok utraciłem na zawsze. Niepewność mnie tylko męczyła...

Najgorsza pewność byłaby mi przyjemniejszą, niż ta męczarnia wśród nadziei i rozpaczy. Ale pewności tej zdobyć nie mogłem. Doktorzy, przez swojego rodzaju ludzkość, nie obznajamiają pacyentów ze stanem ich choroby.

Zajmowała się mną moja siostra. Ona może i wiedziała już prawdę, jej może oznajmiono już wyrok na mnie, skazujący na wieczne kalectwo. Przez dobroć serca wszakże łudziła mnie ciągle.

— Za miesiąc będziesz widział, nie martw się.

Oto com słyszał od niej kilka razy na dzień.

Ponieważ wszakże miesięcy tych upłynęło już wiele, przestałem jej wierzyć i doszedłem do takiego stanu, żem jednej tylko rzeczy pragnął: pewności, iż wzroku nie odzyskam.

Im bliżej tej pewności byłem, tem większy uczuwałem spokój, tem dalszy byłem rozpaczy.

Przygotowywałem się na śmierć.

Siedząc godzinami całemi w fotelu, rozmyślałem nad sposobami zdobycia sobie jakiej silnej trucizny. To mi wypełniało czas. Najprzebieglejszy dyplomata nie układa takich wypiętrzonych i skombinowanych planów, jakie powstały w mojej głowie.

Nie będę panu opowiadał o tem szczegółowo. Wszedłem w przyjaźń ze służącemi całego domu. Dzięki mojej zręczności i inteligencyi udało mi się zdobyć trochę strychniny, przeznaczonej na trucie szczurów.

A więc moje życie było w moich ręku.

Zacząłem teraz kombinować nowy plan; pragnąłem ostatecznie zyskać pewny, niezachwiany dowód, że kalectwo moje jest nie do uleczenia.

Że się zabiję, gdy pewność tę zyskam, nie wątpiłem ani na chwilę. Od tylu lat to przecież jest postanowione. Tyle lat nosiłem myśl w głowie, żyłem z nią nierozdzielnie.

I wreszcie pewnego wieczora wszedłem w pogawędkę z siostrą. Powiedziałem jej, że utraciłem już wszelką nadzieję odzyskania wzroku, a mówiłem to z tak doskonale udanym spokojem i obojętnością na własny los, że siostra uważała za możebne powiedzieć mi to i owo z opinii lekarzy o moim wzroku. Powoli, powoli, rozgadując się, trudno jej już było wstrzymać się na jakimkolwiek punkcie i wreszcie wypowiedziała mi wszystko.

Co do polepszenia losu mojego nie było najmniejszej nadziei. Nawet nie leczono mnie nigdy. Siostra dawała mi płatki z wodą do przykładania na oczy, abym nie wpadł w rozpacz, widząc, iż lekarze mnie odstąpili.

A odstąpili mnie zarówno w Warszawie, jak w Wiedniu, w Paryżu, jak i w Londynie. Dowiedziałem się wkońcu, co o mnie jedna i druga znakomitość okulistyczna sądziła. Wszystkie opinie do jednego prowadziły rezultatu: pozostanę ślepym, póki żyć będę.

Gdy siostra wyszła, powiedziawszy mi »dobranoc« »do jutra«, natychmiast wydobyłem z ukrycia mój papierek z trucizną.

— Skończone moje życie — pomyślałem sobie.

Wsypałem truciznę do szklanki, nalałem w nią trochę wody; wtedy przyszło mi na myśl poczekać, aż dopóki zegar nie wydzwoni jakiejś godziny.

Usiadłem w fotelu i zacząłem myśleć.

I w chwili gdy stałem na progu śmierci, jakiś instynkt życia przywiewać zaczynał mi do głowy myśli, osłabiające mój zamiar.

Trzy lata już przeszło, jak jestem niewidomym — myślałem sobie — czyż naprawdę jestem tak bardzo nieszczęśliwym, czyż w istocie cierpię tyle, że już ciężaru cierpień tych udźwignąć nie jestem w stanie? Ależ te trzy lata upłynęły mi, oprócz paru pierwszych miesięcy, w spokoju i trosk wielkich nie doznałem, a przywykłszy już do mojego stanu, doznawałem nawet wielu przyjemności.

Przytem to życie — rozumowałem dalej — nie jest dla mnie tak niedostępne jak pierwotnie sądziłem. Słuch mój i dotyk wyostrzyły się do tego stopnia, że w moim pokoiku jestem zupełnym panem: umiem sobie sam doskonale radzić. Nie jestem już młodym, żyłem dosyć, pragnę spokoju, mam go i mieć go będę zawsze. Byt mój do końca życia skromny, ale dostatecznie jest zabezpieczony. A to życie ma przecież swoje uroki. Przez otwarte okno, po ruchu ulicznym, po ilości doróżek przejeżdżających w danej chwili, poznaję doskonale porę dnia. Czuję, czy jest dzień pochmurny, czy pogodny. Tegoroczna wiosna sprawiła mi wiele przyjemności. Przytem nie braknie mi ludzi. Siostra moja odwiedza mnie codziennie, radzi się mnie nawet w niektórych sprawach, czasem przyjdą do mnie siostrzeńcy i siostrzenice i takiego harmideru narobią, że no... czasem kto ze sąsiadów odwiedzi kalekę. I żyje się nieźle, wcale nieźle...

Wśród tych myśli zegar wydzwonił jedenastą godzinę.

Wstałem, otworzyłem okno i wylałem na ulicę truciznę.

No i żyję, i nie żałuję wcale, żem się nie otruł; przywykłem do mojego losu — człowiek do wszystkiego przywyka — i dobrze mi na świecie, zupełnie dobrze...

(„Druty telegraficzne“, Warszawa, Gebethner i Wolff 1890).

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

POŁUDNICA.

Dyszało powietrze skwarem, zamierała ziemia w ciszy lipcowego południa, do płuc z oddechem żar wpadał. Niebo nie miało kawałka chmury — powietrze nie miało drżenia najlżejszego powiewu...

W naprędce skleconej budzie, nieopodal świeżo usypanego plantu[1]) kolei żelaznej, dwóch techników skończyło właśnie obiad... więcej niż pierwotny.

Upał działał przygnębiająco na ich humory. Młodszy w milczeniu palił cygaro i wypróżniał jeden po drugim kieliszek koniaku; starszy, pochylony nad deską, stół zastępującą, kreślił końcem noża jakieś geometryczne figury lub kolumny cyfr.

— Drzewiecki, jak ty myślisz? Rak tutaj, czy Koziorożec? — ozwał się młodszy, ocierając spocone czoło.

---

[1]) tu = nasyp, wał kolejowy.

— W połączeniu z koniakiem chyba Ekwador[1]) — z lekkim uśmiechem rzekł starszy.

— Mnie właśnie koniak... ochładza! Spróbuj!

— Dziękuję, nie aprobuję tego systemu.

— Zaraz się spać kładę i nie wypełznę z tej nory aż około północy.

— To logiczniejsze.

Wstał, włożył surdut i wziął czapkę.

— Dobranoc zatem! — dodał, kierując się ku drzwiom szałasu.

— Wychodzisz? Gdzie?

— Na linię[2]) — do roboty.

— Wściekniesz się niezawodnie. Prześpij chociażby południe!

— Ba!... a południca!

— Co takiego?

— Nie wiesz? Prawda. Tyś mieszczuch. Ja bo wieśniak jestem. Byłem raczej! — znowu się uśmiechnął i, podnosząc oczy nagle rozbłysłe, dodał: — No i będę... znowu!

Mizerny był i wyniszczony, starszy niż lata. Kolega spojrzał na jego odzież wytartą i zapadłe policzki.

— Drzewiecki! prawda to, żeś kutwa[3]) i chciwiec? Mówią, że pracujesz nie dla sławy i karyery, ale dla pieniędzy; że je tkasz w swój odłużony majątek; głodem przymierasz, z myślą zmarnowania nauki na wsi. Mój drogi, nie warto było w takim celu tyle lat nad książką ślęczeć.

---

[1]) równik; Rak = zwrotnik Raka etc.

[2]) linia = tor kolejowy.

[3]) skąpiec.

Starszy ręką machnął.

— Są rzeczy, których ty może nie pojmujesz. To, co o mnie mówią, jest rzetelną prawdą. Ale bo, widzisz, kogo wieś zhodowała [1]), z tym ona potem ślub bierze, a biada temu, co ten ślub zerwie! Tak-ci ze mną się dzieje... Ja włóczę za sobą brak i nudę; jabym się właśnie zmarnował, żebym do tej mojej ślubnej nie wrócił. Śmiejesz się! Nie rozumiesz mnie. Wy najmujecie mieszkania; miasto to ul, wy pszczoły albo świerszcze; my mieszkamy na dziadów miejscu... wieś to gniazdo, my jak wróble, do jednej strzechy nawykłe.

Królowałeś ty kiedy? Ja królowałem. Mieszczuch to coś z miliona; wieśniak to król! Powiesz: moja Warszawa, twój głos będzie jednym z tysiąca! Powiem ja: moja Lipowa, a nikt za mną nie powtórzy. Król jestem!

— Zdetronizowany tymczasem! — szyderczo młodszy wtrącił. — Zapewne nieudolny! Dużo teraz pewnie Żydów mówi: moja Lipowa! Co? Lepiej, że o Warszawie tysiące to myślą!

— Może być! — machinalnie Drzewiecki potwierdził, z myślą gdzieindziej zajętą i posmutniałą twarzą.

Usiadł znowu podczas rozmowy i znowu końcem noża kolumny cyfr wycinał na polowym stole.

— Twoja apoteoza [2]) wsi nie tłómaczy mi jednak wcale, co znaczy ten... ta, południk, południkowa... jakżeś powiedział?

— Południca. To cała historya i stara! Byłem młody, nie, byłem dzieckiem. Po dwuletniem studyowaniu

---

[1]) wyhodować, wychować.

[2]) ubóstwienie, uwielbienie.

piątej klasy gimnazyum, z kiepską promocyą[1]), leniwy, niedbały, z zamiarem porzucenia szkół, przyjechałem na wakacye do domu. Folwark był odłużony, ale jeszcze szychem[2]) świecił; ojciec skłopotany i słaby nie miał czasu mnie musztrować... matka nie żyła. Rozpróżniaczyłem się do reszty, zacząłem na wzór starszej młodzieży zbijać bąki, romansować, włóczyć się z baliku na jarmark, z polowańka na karty. Miałem już ośmnaście lat!... Wstydziłem się munduru i książki, udawałem skończonego człowieka. Pewnego ranka, po niedospanej nocy, zgrany, zhulany, z nudą, nieodstępną pustej zabawy następczynią, powlokłem się do ogrodu, z romansem francuskim w ręku, nie wiedząc, jak zabić czas do wieczora. Dzień był, jak dzisiaj, skwarny, duszący, sen kleił powieki; ziewałem, aż mi łzami zachodziły oczy. Minąłem sad, szpaler leszczynowy zawiódł mnie aż w sam zakątek, gdzie rosły warzywa i gdzie nizki tylko płot z żerdzi oddzielał ogród od pól. Na zagonach kwitły maki, stulone od skwaru; kmin i koper wydzielały ostrą woń, gdzieniegdzie stały olbrzymie słoneczniki. Oparłem się o płot i wyjrzałem w pole. Wyglądało jak sztandar trójkolorowy: żółto-czerwono-siny. Mego królestwa barwy stanowił na prawo łan dojrzewającej pszenicy, w lewo szmat kwitnącej koniczyny, środkiem pas najwęższy lnu w kwiecie.

Ładne to było, ale najbardziej zajęła mnie w tej chwili kobieta samotna, której czerwona chustka kraśniała jak mak wśród lnu. Pełła swój zagon, pełła

---

[1]) posunięcie do wyższej klasy. Zła pr. = odmówienie tego t. j. zły stopień przy końcu roku.

[2]) fałszywe złoto lub srebro; przenośnie: pozory.

w ten upał piekielny, niczem nie osłonięta od słońca, schylona, potem oblana i śpiewająca. Nie pojmowałem w tej chwili, jak można chcieć i módz pracować. Potem zacząłem rozmyślać, co to za kobieta, czy znajoma, czy młoda, czy ładna... Melodya jej smętnego śpiewu działała na mnie rozmarzająco. Zbliżała się w moją stronę i wreszcie poznałem ją po żywych oczach na starej twarzy, po kosmykach siwych włosów, wymykających się z pod chustki, po wysokiej, trochę zgarbionej postaci. Była to stara Tekla, matka gumiennego, dawna moja piastunka. I ona mnie spostrzegła. Podniosła się i powitała z przyjaznym uśmiechem:

— Dobry dzień, paniczu!

— Dobry, babko, ale zanadto gorący — odpowiadam. — Jak możecie na takiem słońcu wytrzymać?

— Eee, starego słońce ledwie grzeje, paniczu!

— A czy to niema komu was, babko, wyręczyć? Toć zgroza, że was dotąd robotą mordują. Niechby wnuczęta robiły, a wamby trzeba spocząć! Ot, prześpijcie choć południe i najcięższy upał.

Stara brodę pięścią podparła i energicznie głową potrząsła.

— Eee, co też panicz mówi! Któż widział spać w polu o południu. Toć południca zdybie i głowę usiecze jak źdźbło.

— Co za południca? — pytam.

— Nie w złą chwilę wymówić, to taki upiór. Boginka[1]), czy wiedźma! Nie daj Boże ją spotkać śpiącemu! Miedzami idzie, łanami, strugami[2]). Żeby się

---

[1]) nimfa, rusałka.

[2]) potok, strumień.

w najgęstsze zboże wszyć, wynajdzie. Chodzi i roboty człeczej dogląda. Mówią, że od Boga jest, niby wójt.

— A ładna ta boginka? — pytam ze śmiechem.

— Powiadają, że tak niby przodownica[1]) wygląda, w najbielszy len odziana, w kłosach na głowie, z sierpem w garści. Tylko ten sierp nie na zboże, ale na ludzkie szyje?

— Widzieliście ją, babko?

— Ja? nie, Bogu dzięki. Pomyślawszy, strach bierze. Ale widział ją Mateusz, ten sierota, parobek Saków. Sprawiedliwy chłopak, a tak pracowity, że gdy wszyscy kiedyś z upału pomdleli i do chaty odeszli, on się sam został i kosił a kosił, śpiewając. Przychodzi do niego niby dziewczyna, niby malowanie, i pozdrawia: Pochwalony! Inny parobczak możeby do dziewuchy zażartował, ale on uchylił kapelusza i odpowiada: na wieki. A ona: ktoś ty? a on rzecze: sierota; a ona: skąd ty? z tej-ci ziemi; a czyj ty? tej-ci ziemi; a komu robisz? tej-ci ziemi; a kto ci płaci? a ot słonko! Tak odpowiedział składnie, a ona chwilę przy nim postała, coś śpiewając. Wtedy jego niby lęk zdjął i oczu od niej nie mógł odwrócić, a potem za nią śpiewać zaczął. A wtem przepadła, jak w ziemię, a on patrzy: łąka, co, na trzy dni była, skoszona. Tedy zrozumiał, że z południcą gadał i śpiewał. Ano pieśni zapomniał i ze strachu odchorował.

— A zabiła kogo, babko, ta twoja południca?

— Jaka moja? Co panicz mówi! Albo ja wiedźma, czy co? Tfu! Ta mara zabiła podobno Grzesia, muzykanta, zabiła i gdzieś sama schowała, że i ślad po nim

---

[1]) pierwsza w szeregu żniwiarzy, najlepsza robotnica.

przepadł. Hultaj to był i pijak okrutny. Nocką w karczmie, dniem niby na polu; ale byle za snop czy kopicę się schował, buch! i śpi. Ten się przed oną nie wytłómaczył!

— Jakto nie wytłómaczył?

— Ano, bo to ona bez sądu głowy nie bierze. Wpierw takiemu śpiącemu zagadki daje, rozumu próbuje! Boć nie każdy jednaki! Bywa, co rękami robi; bywa, co głową. Ot naprzykład: guwerner, albo pisarz, albo doktor. Toć on może nocy nie dospał, zmordował się, a ot w południe w kłosach legł i zasnął. Takiemu ona pytania różne stawia. On się wnet wytłómaczy i ona go nie zaczepi, bo różne ludzie ziemi potrzebne, różnie pracować można.

Ano zagadki tylko trzeba odgadnąć! Bo to, paniczu, na świecie żyjąc, trzeba albo dobrym być albo rozumnym, to człowieka żadna zła moc nie ukąsi. Naprawdę, złe moce chodzą między żywymi, choć panowie w to nie wierzą. Śmieje się panicz ze starej i jej gadek; nie powiem już nic więcej!

Nie słuchając moich uprzejmych protestów, Tekla zostawiła mnie samego i schyliła się znowu nad zagonem. Wybierała dalej źdźbła ziela z pomiędzy sinych kwiatków, rozchylając łodygi ostrożnie, prawie pieszczotliwym ruchem. Śpiewała dalej powolną, tęskną piosenkę, której urywek słyszałem, odchodząc:

Rodź, Boże! rodź dobry —
Len biały, bielutki.
Spal, słonko! spal jasne,
Złe zielska i smutki.

Położyłem się w bujnej trawie pod cieniem szpaleru, otworzyłem książkę, chciałem czytać. Ale upał

odbierał mi nawet zdolność zapamiętania treści ostatniego wiersza. Wpatrzyłem się wpół już sennie w olbrzymi słonecznik naprzeciw mego legowiska i zasypiałem, ukołysany ciszą.

Słonecznik miał kwiat najokazalszy u szczytu, dwa trochę niżej. Jaskrawa ich złotość zda się z rozkoszą pożerała olśniewające słońca promienie. Stał jak w ekstazie[1]), ku niebu zwrócony, czciciel rozkochany w bóstwie. Słonecznik ten w moich oczach rozmarzonych pozostał ostatnim obrazem, jak bajka Tekli ostatniem wspomnieniem. Spałem, już, a wciąż go widziałem, tylko że powoli przechodził sam w krainę czarów i nadzwyczajności. Kwiat wierzchni zrobił się wiankiem ze zbóż, dwa niższe zmieniły się w dwie dłonie — jedna pełna kłosów, druga zbrojna w sierp krzywy, z którego słońce krzesało iskry. We śnie niczemu się nie dziwi, więc znajdowałem zupełnie naturalnem, że z pod tego wianka ukazała się twarz, i tylko mi serce mocno bić zaczęło, gdym tę twarz poznał. Była to twarz mego ostatniego ideału.

Za chwilę jednak pewność znikła, rysy były podobne, wyraz bardzo surowy — i nagły strach mię zdjął... Nie mój to ideał był, ale południca we własnej osobie, a ja spałem. Skóra na mnie ścierpła, gdy widmo postąpiło kroków parę i dotknęło mnie ową garścią kłosów.

Egzamin więc będzie. Nie lubiłem egzaminów.

— Ktoś ty? — słyszę wyraźnie.

Z lęku tracę wątek odpowiedzi.

— Drzewiecki — mówię.

---

[1]) zachwyt, zachwycenie.

Sierp zadźwięczał złowieszczo.

— Skąd ty?

— Z Lipowej! — plączę się coraz gorzej.

— A czyj ty?

— Swój własny! — już z rozpaczą wołam.

— A komu robisz?

— Nikomu! — kończę , śmierci oczekując, zamykam oczy.

Ale śmierć nie przychodzi, choć ją czuję nad sobą, a ta straszna egzaminatorka pyta dalej tonem przeciągłym i śpiewnym jak starej Tekli piosenka:

— Co syci bez jedzenia? Co patrzy bez spojrzenia? Co rośnie bez korzenia?

— Nie wiem! — odpowiadam jak zdemoralizowany pierwszoklasista, zdając się biernie na losu łaskę i niełaskę.

Ona więc sama odpowiada ponuro i groźnie:

— Syci bez jedzenia: troska twego ojca. Patrzy bez spojrzenia: twojej matki mogiła. Rośnie bez korzenia: kamień, a kamień ty! Jak kamień na zagonie klną ludzie pracowici, tak ja ciebie przeklinam i, byś na ziemi miejsca nie zajmował... giń!

I zanim miałem czas krzyknąć, bronić się, ona jedną ręką objęła mnie za włosy, jak żniwiarki garść kłosów ujmują, a drugą ręką z sierpem ogarnęła mi szyję i szast! obcięła mi głowę. I poczułem broczącą krew, chwilę bolu, potem nicość — śmierć.

Tu Drzewiecki rękę do szyi podniósł i powiódł wkoło, jakby dotąd owego wrażenia doznawał i przekonać się chciał, czy głowę ma na karku.

— Cha, cha, cha! — homerycznym śmiechem wybuchnął słuchający. — Ty doprawdy wątpisz o swej

całości. Nie zaręczysz, żeś żył i żyjesz; myślisz, że zmartwychwstałeś!

— Jestem tego pewny, że wtedy umarłem. Była to śmierć próżniaka i dziecka. Zmartwychwstałem człowiekiem. Śmiejesz się! Ano my wszyscy wieśniacy rodzimy się idealistami; umieramy, wierząc w nadprzyrodzone rzeczy. Może ja jestem bardziej jeszcze niż inni wrażliwym. To i dobrze! To mnie uratowało. Poczułem się kamieniem nieużytecznym, ale zarazem i twardym jak kamień.

Mój drogi, od tego dnia nie przespałem ani jednego południa, choć mało nocy dospałem. Ano i zostałem, czem jestem. Piętnaście lat przeszło, piętnaście lat moja Lipowa czeka, moja ślubna. Nie dziw się, że wracam! Żebyś ty wiedział, jak mi się śni i trud ozłaca marzenie o dniu mojej intronizacyi. Pokłonią mi się moje ludy: zboża i trawy, zagrają mi moje śpiewaki: wiatry, wyjdą naprzeciw mnie moje dworaki: ptaszki, a herold bocian otrąbi.

Sztandar mi też ziemia rzuci pod stopy, ów sztandar trójbarwny z pszenicy, lnów i koniczyny. Czy ja nie król, kolego? Wtedy pójdę miedzami w pola rojne i legnę bez trwogi o południu w kłosach do snu. Żeby mi wtedy południca się nawinęła! Niech pyta, niech rozumu próbuje, jak stara Tekla mówiła. Nie śmiejesz się już? Dziękuję ci! No, kiedym ci o południcy opowiedział, śpijże zdrów. Idę na linię... załatwię, co trzeba będzie, i za ciebie. — Dobranoc!

— Czekaj, idę i ja!...

(Obrazki. Warszawa T. Paprocki i Sp., 1891).

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
POD ZARZĄDEM JULIUSZA BIRKENMAIERA.